

BIBLIOTEKA
Nr. 117/83
Instytut Literacki

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM IV

NEW POLAND MONTHLY

ZESZYT 6

KSAWERY PRUSZYŃSKI

WIKTOR WEINTRAUB

FELIKS TOPOLSKI

JAN BRATNY

STANISŁAW OSTROWSKI

ZYGMUNT HAUPT

OLGIERD GÓRKA

FRANK SAVERY

STEFAN THEMERSON

TADEUSZ POTWOROWSKI

STANISŁAW ILEWICZ

JANUSZ WIZIŃSKI
Polish Liter. Monthly "New Poland"
"NOWA POLSKA"
11, GREAT FITCHFIELD STREET, LONDON, W.1.
Tel. MUScum 14-09 & 2077.

LONDYN

CZERWIEC

1945



MILLIONS
OF WHISKERS
whisked away
EVERY MORNING

by this softening
smoothing soothing lather

1/6 & 2/6 Including Tax

Wilerbys

Kawiarnia — Restauracja

Obiady — Podwieczorki taneczne

Kolacje z tańcami

Kuchnia i ciastka domowe

Orkiestra kontynentalna

Melodie polskie

6, Hanover Str., London, W. 1

Tel. MAYfair 0826

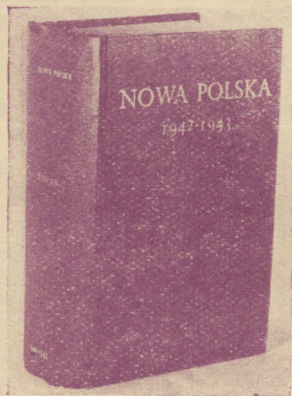
NALEŻY OBECNIE ZAO-
PIEKOWAĆ SIĘ FUTRAMI

V
VANEK jest największym mis-
trzem w przerabianiu,
czyszczeniu i przechowaniu futer
wszelkiego rodzaju. Robota pierwszej klasy.
:: Wynagrodzenie umiarkowane. ::

Zgłaszaj się pod

4, WILLIAM STREET,
Knightsbridge, London, S. W. 1

również w BOURNEMOUTH.



REPREZENTACJA „NOWEJ POLSKI” w AMERYCE

„POLAND FIGHTS”. 55 West 42 Street, New York 18.N.Y.

posiada na składzie

52 tomy oprawne „Nowej Polski”

za 1943 rok à £ 1.15.0

33 tomy oprawne

za 1944 rok à £ 2.0.0

które czytelnicy obu Ameryk i Kanady mogą nabywać dla
wygody osobistej w Oddziale Nowojorskim.

POLSKI KUŚNIERZ

dawniej Katowice

LANGER & CO. (FURRIERS) LTD.

59 Knightsbridge, London S.W. 1

Tel.: SLOane 3626

Wykonuje NOWE FUTRA i przeróbki z
własnych i powierzonych materiałów.

UWAGA! Wyjątkowa 25%-towa zniżka
cen futer gotowych na składzie.

Specjalne udogodnienia dla prowincji.

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM IV

NEW POLAND MONTHLY

ZESZYT 6

LONDYN

CZERWIEC

1945

KSAWERY PRUSZYŃSKI

ONI I WY

Jednym ze wspomnień rosyjskich do których teraz właśnie* nieraz powracam myślą, było zdarzenie jakie przytrafiło nam się bardzo późno, już w drodze powrotnej z Rosji, w lipcu 1942. Płynęliśmy Wołgą w dół rzeki, do Astrachania i Baku, poprzedniego dnia minęliśmy płaski, dymami żółty Saratow, przed wieczorem mieliśmy mijać miasto stojące dopiero u przedproża swej przyszłej sławy: Stalingrad. Na statku sowieckim, poza naszą polską grupą z prof. Kotem było jeszcze sporo innych grup, między innymi znaczna grupa oficerów sowieckich. Przyglądali nam się poprzedniego dnia, przyglądali owego ranka, i jakoś wcześniej po południu zwrócili się niespodzianie do Kota, odjeżdżającego ambasadora polskiego, z prośbą czyby nie wypowiedział dla nich odczytu o Polsce. Ambasador odpowiedział, że niestety zna zbyt słabo język rosyjski, ale wskaże im jednak kogoś, kto taki odczyt naprędce wypowie. I kiedy odpoczywałem po południu na decku „Paryżskiej Komuny” zjawiała się niespodziewana delegacja: trzech pułkowników, dwóch majorów, kapitan czy starszy lejtenant, informując w krótkich słowach i o swym zaproszeniu i o odpowiedzi Kota. Trzeba było wygłosić odczyt, nie lubię przemawiać, a owego odczytu strasznie się bałem. Wiedziałem, że będę mówić do ludzi o odmiennej mentalności niż nasza: wiedziałem, że pomiędzy nimi a Polską zaległ mrok wieloletnich uprzedzeń, niezrozumień i nieprawd: a wreszcie przywiązywałem nieskończenie wiele wagi do takich właśnie, a może i tych właśnie ludzi. Oto ceniłem bardzo i już wtedy armię sowiecką, nie tylko jako wielką bojową siłę, która w tej wojnie zaważyła ogromnie wiele, ale jeszcze jako element, który będzie kształtował przyszłość rosyjską. Oficerowie sowieccy byli to wszystko ludzie powracający ze szpitali i wracający na front, mieli nas opuścić właśnie w tym Stalingradzie, być może niejeden z nich walczył potem na ulicach tego miasta. Pamiętam, że jeden z majorów nie miał prawej ręki, — a mimo to wracał na front. Bywają wojskowi których nie interesuje nic i nikt, poza ciasnym kręgiem pułkowych zagadnień, kwestiami awansu czy dekoracji, możliwością zdobycia większego kontyngentu wody i przespania się z jeszcze jedną dziwką, ale są armie i bywają oficerowie których interesuje, ciekawi

* pisane w marcu 1945.

i dręczy świat w którym walczą, wielki, nieznanym świat jaki przed nimi rozwarła wojna. I pamiętam jak z niepokojem odpowiedziałem: Polska, to wielkie, trudne i zawile zagadnienie. To historia i sprawy społeczne i gospodarcze i Bóg wie jakie jeszcze. O czym mam do was mówić? — Niech pan powie to, co pan uważa za najważniejsze dla nas, dla Rosjan. Żebyśmy wiedzieli. W półgodziny później mówiłem o tym jak pewne słowa są czym innym dla nas, czym innym dla nich. Na przykład jedno słowo. Emigrant, emigracja.

W dużej okrętowej sali było gorąco, przez szyby przeglądał niedaleki, zielony i urwisty brzeg Wołgi, słońce było popołudniowe i od fal mętno-mlecznych szedł jakiś perłowy odbłask, i tak na wodach wielkiej rzeki rosyjskiej, niosącej nas pod przystanie Stalingradu, mówiłem naraz o rzeczach na pozór bardzo dalekich. Wy Rosjanie i my Polacy mówiłem, mamy pokrewne języki i mowy. Wiersze Puszkina przełożone na angielski są tak śmieszne jak łabędzie, gdy kroczą po podwórzu zamiast sunąć po tafli wodnej: ale w przekładzie polskim dźwięczą pełnym spiżem. Żaden przekład francuski czy angielski nie odda piękna „Pana Tadeusza”; ale ukraiński przekład Maksyma Rylskiego oddaje polski poemat w całym jego pięknie. Ale istnieją w naszych mowach słowa, które mając pozornie to samo brzmienie mają znaczenie zupełnie inne. Gdy Polak mówi zapomnieć to znaczy to zapomnieć: gdy Rosjanin mówi zapomnieć, oznacza to zapamiętać. Chłop po polsku, a chołop po rosyjsku, to inny zupełnie wydźwięk: Żyd po polsku i Żyd po rosyjsku mają sens także odmienny — i tak dalej, i tak dalej, i tak dalej. Na pozór tak bliskie nasze mowy same są pełne takich min niespodzianych na które natrafia potem życie: cóż zaś jest z samym życiem? Ale ze wszystkich słów w polskiej i rosyjskiej mowie nie ma chyba innych które brzmiałyby inaczej i odmiennie, jak te właśnie słowa: emigrant, emigracja...

Są czasami wspomnienia które utrwalają się na całe życie. Wyjeżdżałem do Rosji przekonany niezłomie, że tylko na jej szerokich polach może dojść do skruszenia niemieckiej potęgi: a bez tego skruszenia nie mogło być mowy o tym, aby mój naród mógł żyć. Wyjeżdżałem w nadziei, że ciężkie chwile jakie Rosją przejdzie w tej wojnie dopomogą do przelamania tych antypolskich nastroi jakie szły czerwonym szlakiem krwi poprzez całe dzieje Rosji. Pamiętałem miesiące jakichś niezwykle małych i niezwykle zaciekłych trudów, starań, zachodów o tak drobne rzeczy jak o to, aby w Rosji mogło wychodzić pismo naprawdę polskie, aby miało ono polskie czcionki, aby wydanie polskiego elementarza nie uniemożliwiła nam zawistna małostkowość sowieckiej biurokracji. Ale nawet po miesiącach największych, najniepotrzebniejszych trudności nie mogłem uwierzyć aby w tym olbrzymim narodzie nie było poza murem biurokratów takich warstw, gdzieby nie można dotrzeć się do serca — i do rozsądku. Armia? Armia, która tyle wytrzymała w jesiennym i zimowym odwrocie; która już przeszła do przeciwuderzeń w grudniu: która teraz wytrzymała drugie lato niemieckich ofensyw: tak, chyba armia. I teraz, na tym statku płynącym w słonecznej poświacie Wołgi, gdzie aż oczy mróżyło się od światła, gdzie szły ciepłe wiatry z zielonych rozlogów Astrachania, w przededniu wyjazdu, myślałem: chyba teraz. Chyba do tych ludzi. Może ci porucznicy i majorzy ze szpitala wracający na front, ciekawi prawdy o Polsce, będą kiedyś marszałkami i wodzami, może w ich rękę będzie się kształtował kiedyś rozmiękła wojną glina rosyjskiej myśli, może — może — oni zmienią. Co im powiedzieć najważniejszego? Patrząc w ich oczy po chłopsku pilne, po chłopsku badawcze, podnosząc czasem wzrok ponad ich głowy, ku widnej za szybami tuż Wołdze, mówiłem mniej więcej tak właśnie, akcentując raz z rosyjska, raz z polska te dwa wyrazy: emigrant, emigracja:

Emigrant, emigracja. Chciałbym abyście panowie sobie zapamiętali to tylko, że u was i u nas te same rzeczy mają nader odmienny sens. Emi-

grant, emigracja. Co wam, Rosjanom, kojarzy się z tymi słowami? Emigrant, emigracja? Zdaje się, że z wami kojarzą się ludzie których zmyła z powierzchni rosyjskiej największa rewolucja dziejów świata. Kojarzy się to wam z ludźmi, którzy zbrojni w pomoc obcą chcieli w Rosji przywrócić ten stan rzeczy jaki w niej panował aż po rok 1917 — to znaczy carat, i wszystko co się z caratem łączyło. Emigracja kojarzy się dla was, Rosjan, z nazwiskami takimi jak Denikin, jak Judenicz, jak Kołczak, jak Wrangel, kojarzy się dla was z niedołęstwem i okrucieństwem, ze wstecznictwem i zacofaniem, a wreszcie z paryskimi kabaretami, stambulską ulicą, chińskimi palarniami opium na Dalekim Wschodzie, — z tym całym bagnem, w które nareszcie się stoczyła emigracja rosyjska. Oto z czym Wam, Rosjanom, kojarzy się emigracja. Ale z nami, Polakami, jest inaczej. Dla nas emigracja — to była wielka rzecz. Na emigracji dokonano się odrodzenie — czy wprost powstanie — naszej nowoczesnej armii w okresie napoleońskim. Emigracja — to dla nas brzmi wielkimi nazwami bitew dalekich, w których i polski zwyciężał oręż, to Piramidy i kampania włoska Bonapartego, to Austerlitz i Wagram, to Hohenlinden i Samosierra. Nawet nasz hymn narodowy polski powstał na emigracji. Emigracja — to dla was generał Denikin i generał Wrangel; dla nas to generał Dąbrowski i Kościuszko. Emigracja — to dla was walka przeciw rewolucji; emigracja — dla nas — to walka w szeregach rewolucyjnej fali narodów. Ale to nie tylko to emigracja. Nasza literatura powstawała na emigracji lub na obczyźnie. „Pan Tadeusz” powstał na emigracji, „Popioły”, nawet rzeczy Sienkiewicza powstawały poza krajem. Dla nas emigracja to Mickiewicz, to Słowacki, to najwięksi z naszych wielkich. I dlatego chciałbym aby panowie zrozumieli i zapamiętali jedno; jeśli my Polacy mówimy „nasz rząd na emigracji” to nie umniejsza to wcale w naszych oczach znaczenia tego rządu. Przeciwnie. Wręcz przeciwnie. Polska nawykla już do tego, że krajem rządziły nieraz takie czy inne rządy obce, a jednak istniał gdzieś poza krajem jakiś moralny autorytet — i to ten autorytet właśnie, tamten z emigracji, jest wtedy prawdziwym, przez Polaków uznawanym rządem. Jeśli Sikorski, kończyłem, posiada tak odrzuceni autorytet w Polsce, wśród Polaków, to nie mimo tego, że rządzi krajem z emigracji: to może i po trosze dlatego właśnie. Emigracja kojarzy się dla nas z Lelewelem i Czartoryskim, z Kościuszką i Mickiewiczem: może się powtarzam, ale tych rzeczy nie mogę Wam Rosjanom za mało powtarzać. Tradycja polskiego życia państwowego, tradycja lat stu pięćdziesięciu, sprzyja w Polsce rządowi rządzącym z emigracji, tak jak nie sprzyja takim rządowi na przykład we Francji, a jeszcze mniej w Rosji. Pamiętajcie zawsze Rosjanie o tej różnicy. Można panować w Polsce, jak panowali namiestnicy carscy i jak panuje namiestnik Hitlera: ale rząd dusz w Polsce posiada wtedy kto inny. „Polska jest krajem, którym czasami można rządzić z emigracji. Proszę o tym pamiętać”.

II.

Są w życiu chwile które pamięta się niezwykle dokładnie, aż do szczegółów samych, i jeszcze w tej chwili pamiętam dobrze jak słońce zeszło wtedy było nisko, bardzo nisko, jak się prawie położyło blaskiem na potężnych falach Wołgi, jak z tych fal parowało blaskiem o barwach rozpylonego złota, i te blaski biły mnie w oczy jak pył. Ludzie którzy siedzieli naprzeciwko mnie słuchając w zamartym, nieprzeniknionym milczeniu, nie mieli tego światła na twarzach, byli w cieniu, i ich oczu mongolskich, fińskich, wielkoruskich, ukraińskich, nie męczyły te blaski. Miałem wrażenie, że jestem sam naprzeciw całej masy, całej ęmy — jakby powiedział Aleksander Blok — która jest potęgą materialną Rosji i symbolizuje moc Rosji, i że sam i słaby, przedstawiciel samotnego narodu, muszę postawić im przed oczyma jakąś siłę moralną, przed którą i oni

się korzą, i wiedziałem, że ile razy powtarzam nazwiska takie jak Mickiewicz, jak Kościuszko, to jednak coś dociera do głębi tych ludzi ciekawych owej Polski. Starłem się odmalować całą wielkość polskiej emigracji, tej sprzed stu laty oczywiście, wielkość owych dziesięcioleci, które dla kultury polskiej znaczyły więcej niż całe stulecia szablonego sejmikowania, niż wszystkie złote podkowy gubione przez wszystkich Opalińskich przy wszystkich ich wjazdach do Rzymu niż wszystkie, egzotyczne dla Europy zupełnie, Kircholmy, Grunwaldy i Beresteczka. Przedstawiałem, jak całe Niemcy brzmiały od pieśni na cześć tych wygnańców, jak cała liberalna, wolnościowa opinia Zachodu, Francji, Anglii, Belgii, Holandii była po stronie polskiej, jak właśnie z powodu Polski Rosja straciła na Zachodzie ów mir jaki miała od czasu gdy w śniegach rosyjskich padła napoleońska niewola Europy. Było to bardzo trudno, bo nie wiedziałem czy moim słuchaczom wiele powiedzą takie nazwiska jak Micheleta czy Lamartine'a, Victora Hugo czy Burkego, ale jednak zdaje się, że w ich oczach wyrastał istotnie obraz jakiejś Polski, za którą stały na Zachodzie masy i intelektualiści, myśliciele i tłum, robotnicy i pisarze, i że obraz takiej emigracji odcinał im się ostrym nożem od tego bliższego obrazu emigracji jaką pozostawiła po świecie biała emigracja rosyjska. Nasz statek, „Paryżska Komuna” z wolna dopływał ku wzgórzom Stalingradu, a tok naszych wywodów podpływał powoli pod wzgórze logicznych wniosków i przestróg. I jeśli osiągnąłem mój cel, to wywołałem istotnie w myśli moich słuchaczy wrażenie, że Polska ta, taki kraj, który można pokonać fizycznie, ujarzmić koniem kozackim i czołgiem stalowym, ale nad którym nie można zapanować moralnie, psychicznie, myślowo, który w swej głębi pozostanie sobą, odetnie się wewnętrznie od najeźdźcy, i będzie myślami swymi ciążył ku owym dalekim krajom na Zachodzie, gdzie garść emigrantów przegranych politycznie i wojennie potrafi przecież zachować sobie rząd umysłów. Jeśli cel osiągnąłem to wywołałem choćby w tych ludziach tylko przekonanie, że walka o Polskę nie kończy się z zawładnięciem polskimi ziemiami, że Polska może — mogła — trwać pomimo to przez dziesięciolecia, odrodzić tę samą myśl w nowym pokoleniu, zwyciężyć. Tak, mówiłem sam sobie. Emigracja w Polsce była siłą: emigracja polska *może* być siłą. Ale mylnym byłoby twierdzenie, że *każda* emigracja polska *musi* z reguły być siłą tak samo jakby mylnym było twierdzenie, że każda emigracja rosyjska, albo francuska, musi być zerem dlatego tylko, że zerem była emigracja markizów i diuków wypłoszonych przez rewolucję francuską, albo że widmem była emigracja wielkich książąt i gwardyjskich oficerów, wygnana z Rosji przez partię Lenina. Jeśli chodzi o Francję, to wcale niezłą emigracją potrafił być przecież de Gaulle: i to on, a nie Pétain, koniec końców zwyciężył w umysłach Francji. Jeśli chodzi o Rosję to i ona miała swych Herzenów, Krapotkinów czy Bakuninych: nie mówiąc o samym Leninie. Pamięć o tym przesłoniła nam, to prawda, emigracja białoruska: ale jest faktem, że nie zawsze emigrowali z Rosji najgorsi i najmniej wari jej ludzie. Dlaczego po roku 1863 nie mieliśmy ani w części tak wspaniałej emigracji jak po roku 1831? Dlaczego — pytałem sam siebie — mimo całego naszego wysiłku zbrojnego na emigracji właśnie nasza obecna emigracja — bo to jest jednak emigracja — nie ma tamtych, sprzed stu laty, blasków? I wreszcie zadałem sobie jedno niepokojące pytanie: co będzie jeśli obecna emigracja walcząca zamieni się — nie daj Boże — na pełną, prawdziwą emigrację? Co będzie, jeśli lata tułaczki zamienią się na dziesięciolecia wygnania, a dziesięciolecia wygnania zamienią się na cały okres życiowej jednej, może i dwóch, generacji? Co wtedy? Czy i wtedy powtórzy się cud sprzed wieku i powstanie mit emigracji równie silny i wspaniały jak temu lat sto? Czy też tę nową polską emigrację, emigrację pokolenia w którym żyjesz Ty, Czytelniku, Wy, czytelnicy, ja, my wszyscy, postawi kiedyś historia w rzędzie wielkich emigracji świata, — czy w ryzsztoku

małych? Czy da nam miejsce obok Mickiewicza i Herzena, czy obok markiza de la Belle Pagaie i atamana Zopowa? *That is the question. The big question. Our question.* A dzisiaj zdaje mi się, że to pytanie, zrodzone kiedyś w letni wieczór na Wołdze, nabiera niestety niemniej wiele aktualności jak wtedy, kiedy słabość nasza wojskowa i brak politycznej myśli zagnały naród powstaniem listopadowym na tułaczę szlaki emigracji.

III.

Na czym polegała, w czym leżała wielkość Wielkiej Emigracji, tej sprzed stu laty? Odpowiedź wydaje się prosta: w istnieniu wielkich poetów. Ale tak jest tylko pozornie. Jeśli nasza emigracja ówczesna miała tak olbrzymi mir na Zachodzie to na pewno nie dzięki wielkim poetom. Szopen był bardziej znany od Mickiewicza, Słowacki, Krasiński, Zaleski — to były nazwiska najzupełniej Zachodowi nieznane. Wielkość Mickiewicza nawet przyjmowali raczej na kredyt: jakiz przekład francuski oddał kiedy piękno „Pana Tadeusza”! To co znali z Mickiewicza, to wykłady profesorskie o literaturach słowiańskich: a zatem to właśnie czego nikt z nas właściwie nie czyta. Nie: Francuzi i Anglicy ówczesni wiedzieli, rzecz prosta, że w tej fali emigracyjnej jaka przyszła z Polski jest wielu poetów, ale z twórczością tych poetów nie zapoznali się nigdy. Czemuz więc emigracja polska wzbudzała tyle zrozumienia, tyle sympatyj, tyle masowego współczucia, dlaczego cały Zachód stał uczuciowo przeciwko Rosji? Może ktoś odpowie, że wtedy robiliśmy lepszą propagandę? Gdzie tam! Emigracja tak dobrze jak nie robiła propagandy: nie miała ministrów propagandy, biur, urzędników: nie miała i stotysięcznej części tych pieniędzy do zdobycia szerokich sympatyj Zachodu niż tamci. Ułani ginący pod Ostrólką musieli przecież mniej przemawiać do wyobraźni ludów Zachodu niż żołnierzy ginący nad wzgórzami Kentu czy czolgiści spaleni w swych czołgach w ogrodach pod Chamois. A jednak, dlaczego wtedy mieliśmy wszystkich: i ówczesnych Wellsów i ówczesne związki zawodowe — czy to, co by im odpowiadało w tym czasie — i salony i karczmy, i panie i lud, a dlaczego dzisiaj, w lepszej pozycji, mamy wprawdzie swój zastęp wypróbowanych przyjaciół, ale daleko potężniejszych wrogów — i olbrzymi krąg niezycziwych, zrażonych, obojętnych?

Wydać mi się że jest jedna tylko odpowiedź dlaczego tamta, Wielka Emigracja mogła tyle dla sprawy polskiej jednak zdziałać, walkę w kraju przegrawszy, dlaczego mogła tak długo robić ze sprawy polskiej zagadnienie europejskie, dlaczego mogła zyskać w tak wysokim stopniu i w tak szerokiej skali sympatie Zachodu. Nie dlatego, że miała poetów: to raczej Mickiewicz był popularny bo był poetą polskim, niż Polska bo wydała Mickiewicza. Nie dlatego, że wydała politycznych mędrców: Czartoryski był politykiem który przegrał, jak przegrali niejedni Maklakowy czy Izwolskije z rosyjskiej, po 1918 roku, emigracji: nie dlatego, że obrodziła dość obficie w generałów wspominających po kawiarniach paryskich jak nacierał taki czy inny pułk ułanów pod Narwikiem... przepraszam, chciałem powiedzieć: pod Iganiami. Czego jak czego, ale generałów to już nie brakło emigracji rosyjskiej po 1918: a jeśliby doszło do powstania po tej wojnie emigracji polskiej, to i my na brak generałów nie będziemy się zapewne uskarżać. Nie: nie mieliśmy formalnie biorąc gorszych racji aby pozyskać sobie cały Zachód: przeciwnie, w postaci tej krwi przelanej nie tylko o Zachód, ale także i na Zachodzie mieliśmy ich może nawet więcej. Mieliśmy teraz także więcej ludzi rozsypanych na Zachodzie i na świecie, więcej Polaków w Ameryce, na Bliskim Wschodzie, w Paryżu, więcej związków z Francją, z Anglią, ze Szkocją, czasem bardzo osobistych i bliskich. Mieliśmy nasz rząd: mieliśmy środki finansowe: i niemałe. A jednak nikt chyba nie zaryzykuje twierdzenia, że teraz jest lepiej niż

wtedy, że teraz zdobyliśmy sobie więcej zrozumienia, niż wtedy. Dlaczego?

IV.

Oto tamta emigracja, tak samo jak tamta walka, szła w świat ówczesny z wielkimi prądami Zachodu. Bo Polska i jej emigracja były wtedy zachodnimi nie tylko ze względu na swe stare kulturalne podłoże: były nimi ze względu na cele swej ówczesnej walki. Pod tym względem harmonizowały w pełni z Zachodem, zgadzały się z nim całkowicie: a Zachód zgadzał się z nimi.

Trydziestoletnie panowanie Stanisława Augusta, reforma szkół polskich, odrodzenie umysłowe po saskim zadufaniu w siebie, we wszystko co polskie, dały swój rezultat. Klęskę rozbiorów naród przyjął wtedy nie jako dowód, że wszyscy byli tu winni z wyjątkiem samych Polaków, że u nas wszystko było najlepiej: klęskę rozbiorów przyjął naród wtedy przede wszystkim jako skutek zła jakie było w Polsce: postanowił to zło naprawić. Rezultatem tego postanowienia było zbliżenie się do Zachodu: nie tylko Zachodu starych ksiąg, ale Zachodu aktualnych wydarzeń, pism, gazet: rezultatem tego było przejęcie się ideami nie sąsiednich satrapij, ale dalekich, rodzących się czy kroczących w życie demokracji. Po 1815 roku Polska tak samo jak kraje na Zachodzie chciała rządów konstytucyjnych: w sejmie warszawskim tak jak w izbie paryskiej czy brukseńskiej atakowano ministrów króla — u nas był to car Aleksander I — kłóży gwałcili wolność prasy, wprowadzali ciemnotę do szkolnictwa, lub dryl pruski do szeregów. Młodemu pokoleniu ówczesnej Polski nie przyświecało jako ideał średniowiecze: ale przeciwnie, szeroka, oświecona wolność. Dla urzędów francuskich, dla francuskich hasel, dla tego co już było w Anglii, mieli nie tylko zrozumienie, uznanie, ale formalny kult: a to, że we Wiedniu, Berlinie czy Petersburgu mówiono o „zgubnym wpływie”, „destrukcji moralnej”, „zwyrodnieniu wolności” i bliskiej już ostatecznej... zagładzie Zachodu, bynajmniej nie zmieniło faktu, że w małych Krzemieńcach czy Kownach, gdzieś na pylnej Białorusi, czy na dalekim Wołyniu, zawędrowywały rozczytywane pilnie numery „Constitutionela” czy „Le Liberala”. Przeciwnie. Do 1830 roku społeczeństwo polskie czuło i myślało wraz z Zachodem, i to z postępowym, z rewolucyjnym nawet, Zachodem. W 1830 roku porwało się do broni po przykładzie Paryża i po przykładzie Brukseli: a jeśli ówczesny Francuz, Belg czy Anglik szukał w swej własnej gazecie wyjaśnienia o co się biją Polacy, to znajdował, że walczą o to aby władza szanowała konstytucję, aby nie było cenzury, aby była wolność prasy, aby była wolność słowa. Wiedział, że poza walką o niepodległość, poza walką o mało go obchodzący Mińsk czy Berdyczów, jest jeszcze walka o to wszystko co już zwyciężało na Zachodzie, co interesowało żywotnie Francuza, Belgą, Anglika: a także liberalnie myślących ludzi w całym świecie. Co więcej, Francuz, Anglik, Belg czy Włoch widzieli, że przeciwko powstaniu polskiemu mobilizują się siły europejskiej reakcji, że z carem Mikołajem sympatyzuje świat hiszpańskich Burbonów, despotyczne dwory włoskie, policyjne Prusy, reakcyjna Austria, — że przeciw sobie ma Polska to wszystko, co w Europie, nad Sekwaną, nad Padem, nad Renem i Ebrem jest przeciwko wolności. W ten sposób sprawa polska była dla ludzi wolności w Europie częścią ich własnej sprawy, przedłużeniem ich własnych walk. Sympatyzowali z nią tak samo jak z daleką sprawą republiki hiszpańskiej w 1936 roku sympatyzowali robotnicy z Zagłębia, intelektualiści z Upsali i chłopci z Polesia. A wreszcie, kiedy masa emigrancka spłynęła z Polski na Zachód, to z rozmów przekonywano się powszechnie, że pokonana Polska miała w swej duszy te same ideały co zwycięzcy z bruków Paryża lub Brukseli. Tak było wtedy.

Niestychanie znamienym przykładem zaufania jakim postępowy, ludowy i rewolucyjny Zachód obdarzał ówczesną emigrację polską był stosunek do ówczesnych polskich generałów emigracyjnych. Uważano ich nie tylko za znakomitych wojskowych — co zresztą było bardzo grubą przesadą — ale również za ludzi oddanych sprawie międzynarodowego postępu, a nawet wprost rewolucji. Od 1831 aż po 1871 — do Komuny Paryskiej włącznie — ilekroć jakiś naród europejski chwycił za broń i stawił barykady, ilekroć organizował rewolucyjną armię, tylekroć prosił na wodzów — nieraz na naczelnych wodzów — generałów polskich. Bem w 1848 r. na Węgrzech i we Wiedniu, Chrzanowski we Włoszech i w Badenii, Dembiński na Węgrzech, inni na Sycylii — można by napisać całą historię o tym jak to w XIX wieku ludy europejskie chwytając za broń przeciw obcym czy własnym ciemieżcom odwoływały się do polskich generałów emigracyjnych widząc w nich nie tylko fachowców, ale jeszcze demokratów, postępowców, rewolucjonistów czy jak tam. Szereg ów zamykają po latach czterdziestu nazwiska Jarosława Dombrowskiego i Wróblewskiego, którzy obaj jeszcze w ostatnich dniach walk Komuny Paryskiej prowadzili jej tragiczną walkę z barykad paryskich.

Czy chcę przez to powiedzieć, że emigracja polska 1830 roku była emigracją lewicową? Bynajmniej. Na tamtej emigracji był również reprezentowany element prawicowy. Był nawet reprezentowany bardzo poważnie. Co prawda, Lelewel był człowiekiem lewicowym i nawet radykalnym: co prawda Worcell zapoczątkowywał polski socjalizm, czy niemal komunizm: co prawda, działalność publicystyczna i dziennikarska Adama Mickiewicza zaprowadziła go jeszcze bardziej na lewo.

Społeczne poglądy Mickiewicza odzwierciedlała jego działalność jako założyciela, redaktora i publicysty „Trybuny Ludów”. Było to pismo radykalne, o silnych tendencjach socjalistycznych, jeśli nie więcej: wobec tego pisma nasza „Nowa Polska” na którą obecna emigracja tak krzyczy byłaby bardzo błada: cóż zaś mówić o tego rodzaju organach jak „Polska Walcząca”, „Myśl Polska” itd. No a jakimże był na przykład Mickiewicz w sprawie żydowskiej? Czy przypomniemy tu jego posłanie do Żydów? „Izraelowi, bratu starszemu...” tak zaczynało się ono? Jakby na to nie wrzasnął dzisiaj jaki Rojek!

Nazwisk lewicowych było więc aż nadto: i nie była to lewicowość na obnos i na wynos, lewicowość która bynajmniej nie utrudnia sojuszków i związków z reakcją, z kołami przeciwnymi wolności, idącymi na pasku junt i czarnej sotni. Wystarczy, że wspomniemy wielkie prawicowe nazwisko: Adam Czartoryski. Tak, Adam Czartoryski, to była niewątpliwie prawica. Był to niewątpliwie konserwatyzm. Był to niewątpliwie człowiek biały. Ale znowuż istnieją i istniały zawsze dwa rodzaje prawicy na świecie. Niemal współcześnie, prawicowcem był Disraeli i prawicowcem był Metternich. Prawicowcem jest Churchill i prawicowcem był Mussolini, Hitler, Franco. Sympatie prawicowe miał de Gaulle: miał je Pétain. Oto garść przykładów. I otóż Adam Czartoryski był o tyle człowiekiem prawicy, że był z pochodzenia księciem, z pozycji socjalnej wielkim panem, że był przyjacielem cara i ministrem carskim, że cenił tradycję i miał odrazę do rewolucyjnych metod. Ale Adam Czartoryski był znowuż człowiekiem Zachodu, liberałem nieomal, na pewno zaś liberałem w naszym współczesnym pojęciu, przyjaźnił się z carem Aleksandrem w okresie kiedy car żywił liberalne sympatie, kiedy cała liberalna Europa widziała w nim wyzwoliciela jej od Napoleona, Nadhitlera owych czasów, — a przestał przyjaźnić się z carem gdy car skłonił się ku reakcji. Adam Czartoryski prawicowiec był członkiem i głową rządu powstańczego, był wygnańcem, skazanym w Rosji na ścięcie, wyzutym z mienia. Tak, istotnie, Adam Czartoryski był człowiekiem prawicy, — ale znowuż ta prawica była daleką od reakcji. Czy była wtedy w Polsce reakcja? Oczywiście. Ale była to grupa nieliczna bardzo. Może najwybitniejszym jej przedstawicielem

był Wincenty hrabia Krasiński, generał napoleoński, ojciec poety Zygmunta. Może jej przedstawicielem był hr. Fryderyk Skarbek i paru innych biurokratów którzy dalej pozostali na urzędach w paskiewiczowskiej Polsce. Wątpliwe czy można do reakcji zaliczyć Kajetana Koźmiana. To pewna, że ludzie ówczesnej polskiej reakcji nie przyjęli powstania, opowiedzieli się przeciw niemu, nie poszli na wygnanie, pozostali pod rządami Rosji, z rządami tymi współpracowali. Byli zwolennikami powrotu Burbonów i białego sztandaru we Francji, zachwycali się rozumem Metternicha, jęczeli nad przewrotnością polityki angielskiej, gorszyli się anarchizmem i rozpasaniem Francji. Ale ludzi tych było mało i Zachód ich nie znał. Wszyscy oni pozostali przecież w kraju. Na emigracji tych ludzi nie było.

I może w tym właśnie leży wielka, ogromna różnica tamtej emigracji a tej która teraz, już w naszych oczach, niespostrzeżenie i bezszelstnie otworzyła swe ciężkie karty. Tamta emigracja nie miała antysemitów, nie miała zwolenników mocnej ręki, nie szła w świat z gadaniem, że demokracja jest skończona, albo zgniła, albo że zeszała na psy, nie mówiła nawet, że wszystko co było, było dobre ani, że wszystko co polskie było najlepsze. Tamta emigracja miała pisarzy ostrych i walczących: ale przecież nie słyhać o nagonkach organizowanych na Mochackiego czy Zaleskiego, nie słyhać o cenzurze. Powstanie listopadowe wybuchło między innymi także o wolność słowa i druku: a ci co znaleźli się wtedy na emigracji nie poświęcili tyle ile my czasu aby pisarzy poddać kontroli. Tak, tak. W tamtej emigracji hrabia Worcell szedł w rzeszę robotnicze: w tej możemy oglądać eksrobotniczych leaderów na pobieguszkach junty. W tamtej emigracji młodzi ludzie z Polski mówili tym samym ideowym językiem jakim mówili młodzi ludzie Francji i Anglii, ludzie postępu: w naszej jakże często u naszych młodzieńców odnajdywano te same myśli jakie nurtowały świat Corneliu Codreanu i Jose Antonia Primo de Riveri i belgijskiego pana Degrelle — i może wielu, wielu innych. Mogli mówić lepszą angielszczyzną i może poprawniejszą francuszczyzną niż ci sprzed wieku, ale było to tylko tym gorzej, bo tym lepiej, tym wyraziściej wychodziły chropawe dźwięki ich wewnętrznego ideowego języka. Wszystko to było tylko na lep naszym wrogom, wszystko to im tylko pomogło, każdy z owych narodowców, antysemitów, krytyków demokracji, zwolenników silnej ręki, wielbicieli zamordyzmu, przeciwników wolności słowa, był tylko nieświadomym może ale na pewno walnym szkodnikiem sprawy polskiej. Sprawy która po to aby zwyciężyć, i właśnie wtedy gdy ponosi klęski, musi mieć, jak miała przed wiekiem, szerokie sympatie Zachodu.

WIKTOR WEINTRAUB

OSTATNI TOM BIBLIOGRAFII

Książka, która leży przede mną, ukazała się w pierwszych dniach wojny. Nie pojawiła się nigdy w handlu księgarskim. Nie wiadomo, co się stało z jej nakładem. Egzemplarz, który czytałem, jest najprawdopodobniej unikatem poza granicami kraju.

Bardzo to szacowna książka: Estreichera „Bibliografii Polskiej” tom XXXIII, lit.: Wil — Y.

Jeszcze sześć lat temu mogło się wydawać, że los „Bibliografii” będzie normalnym losem wielkich kompendiów erudycyjnych: książek, które rodziły się w ciągu długich lat, przychodziły na świat cicho, witane przez garść tylko ludzi, zdolnych ocenić ich znaczenie, aby potem na półkach bibliotecznych zająć miejsce na stałe i stać się dla następnych pokoleń niezbędnym towarzyszem pracy naukowej.

Ale wojna sprawiła, że los tego dzieła jest losem tragicznym. Praca nad „Bibliografią”, której pierwszy pomysł narodził się przed niespełną stu laty, bo w r. 1848, tuż przed wojną zdawała się dobiegać końca. W przedmowie do ostatniego wydanego tomu, która nosi datę dnia 25 sierpnia 1939 r., autor dzieła pisał:

„Jeśli nic nie stanie na przeszkodzie mimo zbierających się groźnych chmur, to druk ostatniego tomu rozpocznie się z końcem roku bieżącego lub początkiem przyszłego, a w ten sposób rozległe rozmiarami dzieło dobiegnie wreszcie do końca”.

Na przeszkodzie stanęła wojna. Tom ostatni dzieła, — ogólnego zbioru tom trzydziesty czwarty, — który miał obejmować literę Z, w ogóle się nie ukazał. Autor „Bibliografii”, prof. Stanisław Estreicher, zginął w niemieckim obozie koncentracyjnym dn. 28 grudnia 1939 r.

Dzieło, które powstawało przez lat przeszło dziewięćdziesiąt, nie mogło być — rzecz prosta — dziełem jednego człowieka. Rozpoczął je Karol Estreicher, który dzięki niemu właśnie zyskał sobie tytuł „ojca bibliografii polskiej”. Kiedy w r. 1908 umarł, podjął się kontynuacji „Bibliografii” jego syn, a w ostatnich latach jego życia także i bliski jego współpracownik, Stanisław Estreicher. Poza nimi dwoma żadnych „współpracowników” „Bibliografii” nie było: autorzy bibliografii używali płatnej siły pomocniczej do mechanicznej pracy kopiowania tytułów; ten i ów nadesłał garść tytułów (co zawsze skrupulatnie kwitowane było w przedmowach), — ale naprawdę cała „Bibliografia” stała tylko pracą tych dwóch ludzi. Legendy o „sztabie współpracowników”, które czasem nawet znajdowały swój wyraz w druku, były tylko mimowolnym hołdem dla wielkości wykonanej pracy, ale rzeczywistości nie odpowiadały.

Rzecz prosta też, że dzieło, którego historia powstania obejmuje lat z górą dziewięćdziesiąt, nie może być dziełem zupełnie jednolitym, — że jego plany, sposób wykonania z biegiem czasu ulegały znacznym zmianom.

Pierwsze siedem tomów „Bibliografii” — to po prostu chronologicznie ułożony inwentarz druków polskich XIX w. Jego pełny tytuł, dziś już trącający stylową myszką, brzmi: „Katalog 50.000 druków polskich lub Polski dotyczących, od roku 1800, ułożony abecedłowo według autorów i przedmiotów, z wyrażeniem cen księgarskich”.

Część druga „Bibliografii” — tomy VIII-XI — jest chronologicznym zestawieniem druków polskich od pierwszych inkunabułów z końca XV w. aż po rok 1889.

Z tomem dwunastym rozpoczyna się trzecia część „Bibliografii” Estreichera. Ta część, która jest dziś dla nas właściwą „Bibliografią” i dzięki której „Bibliografia” jest jednym z monumentalnych osiągnięć nauki polskiej. Jest to mianowicie rozumowana bibliografia druków polskich lub obcych, dotyczących Polski, XV-XVIII w., ułożonych w porządku alfabetycznym nazwisk autorów lub — przy drukach anonimowych — pierwszych wyrazów tytułów.

Pierwsze dwie części dawały tylko najelementarniejsze informacje o książkach: nazwisko autora, tytuł, przeważnie mocno skrócony, rok wydania. Były swego rodzaju gigantycznym katalogiem księgarskim. Ambicją trzeciej części jest danie między innymi względnie pełnego opisu bibliograficznego i rozwiązanie nasuwających się przy opisie książki problemów bibliograficznych. Między innymi, — bo jak zobaczymy następnie, ambicje te sięgają dużo dalej.

Ale już sam opis bibliograficzny i rozwiązanie problemów bibliograficznych, to wcale nie jest rzecz tak prosta, jakby się czytelnikowi niefachowemu wydawało. W dawnych książkach bez porównania częściej niż we współczesnych mamy do czynienia z mistyfikacją bibliograficzną: — książka stara się wmówić w czytelnika, że została napisana przez kogo innego, a nie przez tego autora, którego dziełem jest naprawdę, że wydrukował ją nie ten drukarz, spod którego prasy naprawdę wyszła, ale

kto inny. Z reguły tak ma się rzecz przy książkach, których treść z tych czy innych względów była drażliwa, których druk z tych czy innych względów mógł być szkodliwy, — t. zn. przy książkach najciekawszych. Nie tylko zresztą wzgląd na bezpieczeństwo bywał powodem mistyfikacji bibliograficznej. Czasem działały tu względy nieuczciwej konkurencji księgarskiej: jeden księgarz miał przywilej na drukowanie popularnej książki (t. zn. mówiąc terminami współczesnymi: nabył jej prawa autorskie), a drugi podszywał się pod jego firmę. Albo na odwrót: starą książkę „odświeżano” w ten sposób, że dodrukowywano jej nową kartę tytułową — żeby wymienić tylko najbardziej typowe przykłady. Dodajmy jeszcze do tego, że dawniej dużo częściej niż dzisiaj książki — nieraz poważne dzieła — wychodziły anonimowo oraz że współczesny typ przejrzystego i krótkiego tytułu jest tworem stosunkowo niedawnej daty.

Porządna bibliografia powinna więc dać nie tylko możliwie pełny opis druku, ale także ustalić, kto jest naprawdę jego autorem, kto go naprawdę wydał, ile książka naprawdę miała wydań. Wymaga to nieraz wcale skomplikowanych zabiegów.

„Bibliografia” Estreichera nie ograniczyła się jednak tylko do opisów bibliograficznych druków. Przy większości książek, z reguły przy każdej ważniejszej, po opisie bibliograficznym następuje tekst podany petitem. Zwraca on uwagę na ciekawe elementy treści książki, informuje dla jakich zagadnień książka może przynieść interesujący materiał, czasem zaznacza te czy inne *curiosa* jej zawartości, niekiedy wreszcie, jakby po drodze, *ex re* omówienia druku rozwiązuje ten czy inny problem historyczno-kulturalny. Poza tym z reguły przy każdym choć trochę ważniejszym autorze „Bibliografia” przynosi z zasady bardzo gruntowną bibliografię i książek staropolskich, w których można znaleźć informacje o nim, i nowszych opracowań. Nierzadko wciągnięto tu także i materiały rękopiśmienne. Jest wreszcie w „Bibliografii” sporo odsyłaczy rzeczowych, grupujących książki na pewne rozleglejsze tematy. W tomie XXXII np. pozostawiano w ten sposób książki staropolskie, traktujące o „włościanach”, „wojsku”, „wolności religijnej”, „winie” (i w ogóle pijaństwie).

Nie trzeba podkreślać, jak olbrzymią pomocą dla każdego w pracy są takie zestawienia. Kto ma np. w pamięci „Polski słownik pijacki i antologię bachiczną” Tuwima i zestawí jej materiał z tytułami, zamieszczonymi w „Bibliografii” pod hasłem „wino”, ten łatwo uświadomi sobie, o ile bogatszą mogłaby być ta antologia, gdyby Tuwim miał możność przy jej opracowywaniu oprzeć się już na takim Estreicherowskim zestawieniu.

Te właśnie zestawienia i uwagi *petitowe* w miarę jak kolejne tomy wychodziły, coraz bardziej się rozrastały, stawały się coraz bogatsze w treść, coraz bardziej z biegiem lat pęczniały erudycją. W pierwszych tomach trzeciej serii „Bibliografii” są one skąpe, — przeważnie są to odsyłacze do dawnych bibliografii. Rozrastają się one i bogacą w treść w ostatnich tomach, wydanych za życia Karola Estreichera, wtedy kiedy współpracownikiem przy redagowaniu „Bibliografii” był już jego syn, Stanisław. Bo też są one przede wszystkim wkładem Stanisława Estreichera.

Karol Estreicher, odumierając w r. 1908 „Bibliografię”, zostawił w trakcie druku tom na literę O. Syn, na podstawie w dużej mierze pozostawionych przez niego materiałów, doprowadził do końca tom na O i do roku 1915 wydał dalsze trzy tomy, obejmując litery P i R. Potem przyszła dłuższa, trzynastoletnia przerwa, wywołana najpierw warunkami wojennymi, a później trudnościami finansowymi wydawcy „Bibliografii”, Akademii. Druk tomów „Bibliografii”, wymagających różnych typów składu, żmudnych, wielojęzycznych korekt — był także bardzo kosztowny. Estreicher zwrócił się o pomoc do Ministerstwa Oświaty. Ale w Ministerstwie nie okazano odpowiedniego zrozumienia dla znaczenia „Bibliografii”. To znaczy, zasiłek Ministerstwo na pewno by i dało, ale wymagałoby to cho-

zenia, kołatania, proszenia. A prof. Estreicher był na to wszystko za ambitny. I ostatecznie dla „Bibliografii” do końca jedynym oparciem finansowym były szczupłe fundusze Akademii, wychodziła ona bez pomocy rządowej, choć przed tamtą wojną władze austriackie przyznawały na jej druk coroczny zasiłek (niewielki zresztą).

Trzydzieści lat, w czasie których w wydawaniu dzieła nastąpiła przerwa, nie były jednak latami straconymi. W tomach wydanych po r. 1928 petitowych uwag jest więcej niż w poprzednich, treść ich jest bogatsza, świadcząca o jeszcze pełniejszym i wszechstronniejszym odczytaniu autora. Te siedem tomów to ostatnie, naukowo najcenniejsze stadium „Bibliografii”.

Dla właściwego scharakteryzowania tego ostatniego stadium „Bibliografii” trzeba osobno omówić jej oba elementy składowe: opis bibliograficzny i to, co w uwagach petitowych jest wyzyskaniem treści druku.

Otóż nie ulega wątpliwości, że w latach, kiedy ukazywały się ostatnie tomy „Bibliografii”, technika opisu bibliograficznego była dużo precyzyjniejsza i bardziej naukowo ścisła od tej, jaką Estreicher przynosił. U nas najwyższy jej poziom reprezentował zmarły również w czasie obecnej wojny Kazimierz Piekarski.

Technika opisu bibliograficznego doszła w pracach Piekarskiego do takiego stopnia perfekcji, że obserwowanie jej w studiach — podobnie jak każda doskonałość technicznego wykonania — wywołuje w czytelniku satysfakcję estetyczną. Piekarski dzięki niej był w stanie z elegancją i pełną naukową ścisłością rozwiązywać bardzo trudne zagadnienia bibliograficzne: wykrywać wydania, które podszywały się pod wcześniejsze, ustalać na podstawie analizy kroju czcionek kto, gdzie i kiedy drukował książkę, której np. brakło karty tytułowej, a więc normalnego źródła informacji bibliograficznej. Dokonywał rzeczy, które dla niewprawionego czytelnika graniczyły z prestidigitatorstwem: oto np. wydobył ze starej okładki strzęp szesnastowiecznego druku, skądinąd nieznanego, i na podstawie analizy typu czcionek umiał ustalić, kto go i gdzie drukował, a na podstawie analizy stopnia zużycia czcionek czy ozdobników i porównania pod tym kątem widzenia z innymi, znanymi drukami tego samego drukarza potrafił — nieraz wcale ściśle — określić, w jakim czasie dana książka była wydrukowana.

Zalety ścisłości, precyzji, gruntowności opisu bibliograficznego Piekarskiego nie podlegają żadnej wątpliwości. Kłopot polega tylko na tym, że gdyby chciał metodę taką zastosować do „Bibliografii” Estreichera, to materiał, objęty jednym tomem tej „Bibliografii”, z trudem udałoby się zmieścić w tomach dziesięciu, a na opracowanie tych dziesięciu tomów nie starczyłoby długiego i bardzo pracowitego żywota. Przy wszystkich swoich niewątpliwych zaletach metoda ta miała jedną kardynalną wadę: była zupełnie niepraktyczna przy dziełach szerszego oddechu.

Dorobek naukowy Piekarskiego jest zresztą tego najlepszym przykładem. Oto w całym tym dorobku jest tylko jedna większa praca bibliograficzna: bibliografia wydań Jana Kochanowskiego z XVI i XVII wieku. Bibliografia ta, arcydzieło akrybii, przyniosła też bardzo ciekawe wyniki naukowe, dowiodła mianowicie, że wszystkie nowsze wydania Kochanowskiego są wydaniem z nieprawego łoża, bo opierały się na wydaniach, które podszywały się pod pierwodruki czy edycje, dokonane za życia poety, że więc są one naukowo mało co warte. Pierwsze wydanie tej bibliografii ukazało się na Zjazd Kochanowskiego w r. 1930. Ale autor nie był z niego jeszcze w pełni zadowolony. Doszlifował je i wydał ostatecznie po raz drugi w r. 1934. A w ciągu tego czasu ukazały się trzy grube tomy „Bibliografii” Estreichera.

Jeśliby nawet brak większych opracowań położyć w znacznej mierze na karb małej produktywności naukowej Piekarskiego — był on człowiekiem o bardzo szerokich zainteresowaniach, dużych wymaganiach wobec swych

prac i niechętnie piszącym — to i tak nie ulega wątpliwości, że podejmowanie większych prac przy pomocy takich metod równałoby się podejmowaniu się zadań niewykonalnych. Z metodą opisu bibliograficznego było po trosze tak jak z wzorowymi metodami analizy filozoficznej, jakie opracowali logistycy. Metody są wzorowo precyzyjne i ścisłe, ale niech kto potrafi ukroić takim idealnie ostrym nożem jakikolwiek bardziej skomplikowany problem filozoficzny.

Z drugiej strony nie podobna zaprzeczyć, że nie jest rzeczą trudną wyłowienie w „Bibliografii” Estreichera niedokładności opisu bibliograficznego. Z własnego doświadczenia wiem, że kilkakrotnie spotykałem się z takimi przypadkami, kiedy dwa znajdujące się w dwóch różnych bibliotekach egzemplarze tej samej książki były podane w „Bibliografii” jako dwa różne wydania.

Ale — jak już powiedziano wyżej — jakkolwiek już samo skatalogowanie wszystkich starych druków polskich jest wielką zasługą naukową i nieocenioną pomocą dla każdego, kto zajmuje się naukowo starszą kulturą polską, to jednak główna wartość „Bibliografii” tkwi nie w tym opisie, ale w — petitowych komentarzach.

Aby je móc odpowiednio ocenić, trzeba się choć z grubsza zorientować w indywidualności naukowej ich autora, prof. Stanisława Estreichera.

Była to indywidualność bardzo nieprzeciętna.*

Prof. Estreicher zajmował na wydziale prawnym Uniwersytetu Jagiellońskiego katedrę historii prawa na zachodzie Europy. Nie znam prac jego w tym zakresie, pisał zresztą w tej dziedzinie mało, wiem tylko, że miał opinię dobrego znawcy historii dawnego prawa niemieckiego. Ale poza swą ścisłą specjalnością uniwersytecką prof. Estreicher był człowiekiem zainteresowań niezwykle rozległych i żywych. Szerszemu ogółowi znany był przede wszystkim jako jeden z głównych publicystów konserwatywnego „Czasu” z krakowskiego okresu tego pisma. Mniej wiadano o tym, że w osobie prof. Estreichera Kraków miał jednego ze swoich tęższych historyków literatury. W ostatnim roku przed wojną zainteresowania te doznały swego rodzaju konsekracji uniwersyteckiej: prof. Estreicher ogłosił dla polonistów cykl wykładów o literaturze politycznej XVI w.

Jego zainteresowania literackie wcale nie ograniczały się tylko do starszej literatury. Pamiętam dobrze, jak w „Czasie” ogłosił kilka felietonów, poświęconych „Fantazemu” Słowackiego. Kiedy je czytałem, miałem w świeżej pamięci to, co pisali o „Fantazym”: Kleiner w trzecim tomie swej wielkiej monografii o Słowackim i Kołaczkowski, który opracował „Fantazego” dla „Biblioteki Narodowej”. Kleiner i Kołaczkowski były to dwie wybitne i bardzo różne indywidualności naukowe (doszło też z czasem między nimi do ostrego starcia). Otóż — pamiętam — uderzyło mnie, że ujęcie tego outsidera, jakim był Estreicher, było od charakterystyk ich obu stanowczo lepsze: bardziej zrównoważone, trafniej wychwytyjące istotne rysy tego niełatwego do scharakteryzowania romantycznego dramatu — komedii.

Pamiętam też, jak na jednym z dorocznych publicznych zebrań Akademii, prof. Estreicher wygłosił odczyt o — kodeksie Hammurabiego. Dodajmy, że w młodości ogłosił kiedyś rozprawkę o Szekspirze w Polsce XVIII wieku, że jest autorem studium o polskiej kulturze prawniczej XVI w. i że „Przegląd Współczesny” przyniósł kiedyś jego wspomnienia o Wyspiańskim oraz że w „The Cambridge History of Poland” jeden z rozdziałów — poświęcony Galicji w latach 1849-1914 — jest jego pióra.

*) Obszerną charakterystykę Stan. Estreichera, uczonego, profesora i publicysty, pióra prof. Stanisława Kora, przynosi drukujący się obecnie drugi tom „Strat kultury polskiej”. O tym jak „Bibliografia” powstawała, poinformować się można z artykułu Karola Estreichera „Jak mój Ojciec pracował nad bibliografią”, zamieszczonego w paryskich „Wiadomościach Polskich”.

Wyliczone tu przykładowo prace dają pojęcie o wyjątkowej szerokości zainteresowań Stanisława Estreichera. Wszystkie one były jednak tylko drobiazgami na marginesie bardzo intensywnej pracy nad dziełem całego życia, nad „Bibliografią”. Przy tak szerokich zainteresowaniach dopiero staje się rzeczą zrozumiałą, że prof. Estreicher przez całe życie uprawiał bardzo rozległą i systematyczną lekturę prac, poświęconych historii politycznej, kulturalnej, literackiej, obyczajowej Polski. Był polonistą w wyjątkowo szerokim, najszerszym z możliwych, znaczeniu tego słowa. Równocześnie zaś przy takiej żywości zainteresowań staje się rzeczą zrozumiałą, że prof. Estreicher każdy z dostępnych mu druków, które przyszło opisać w „Bibliografii”, uważnie przeglądał, co ciekawsze zaś i ważniejsze z nich — czytał. Lektura zaś taka na tle wyjątkowo szerokiego i systematycznego odczytania w literaturze naukowej pozwalała mu wychwytywać, co w danym druku jest nowego, ciekawego dla badacza. Oto w tym druku na przykład mamy nowe dane do historii recepcji Arystotelesa w Polsce. Autor znów innego, zdawałoby się zakazanego, nieciekawego druku dewocyjnego — polemizuje z Descartes’em i z Lukrecjuszem. W tym zaś panegiryku znajdujemy ciekawe dane obyczajowe, a kiedy indziej w szesnastowiecznym wierszu dedykacyjnym natrafiamy na kilka szczegółów, które same w sobie blade, w szerszym kontekście mogą być interesujące dla historyka humanizmu w Polsce. Gdzie indziej znów w przedmowie wyskakują nieznane dane do biografii jednego z działaczy reformacyjnych. Itd., itd.

Wszystko to dla użytku przyszłego badacza skrzętnie notowano w uwagach petitowych. Kiedy indziej znów dane, wydobyte z lektury książki, pozwalały sprostować jakieś ujęcie starszego opracowania. Kiedy indziej lektura nasuwała przypuszczenia: czy to przypadkiem nie jest wpływ — powiedzmy Woltera, albo — dajmy na to — Erazma. I te przypuszczenia zostały odnotowane w petitowych uwagach. Czasem rozległa erudycja pozwalała prof. Estreicherowi rozwiązać jakąś zagadkę biograficzną czy filiacji wpływów. Ktoś inny zrobiłby z takiego odkrycia co najmniej przyczynek, dobrze że nie rozprawkę. Estreicher zamykał je w kilku wierszach petitowych uwag.

I oto te uwagi petitowe decydują dopiero zarówno o wielkiej wartości, jak i o ogromnym uroku tej książki dla każdego, choć trochę wciągniętego w studia nad historią kultury staropolskiej. Jest ona jakby mapą dla podróżnika odkrywcy, nakreślającą granice dziewiczego terenu, drogi podejścia, sugerującą, gdzie — prawdopodobnie — będzie można zrobić najciekawsze odkrycie. Nie ma prawie arkusza „Bibliografii”, który by nie podsuwał interesujących problemów do opracowania, nie wskazywał na tematy, leżące odłogiem, a obiecujące ciekawe wyniki. Przy wybitniejszych zaś autorach „Bibliografia” załatwiała dla przyszłego monografisty całą masę kłopotliwych i żmudnych studiów wstępnego stadium pracy. Niekiedy dopiero po „Bibliografii” można było przystąpić do poważniejszej pracy monograficznej. Dopiero ona pozwalała, się zorientować i w rozległości dorobku pisarskiego danego autora, i w dostępności tego dorobku, i w problemach, jakie on nasuwa. Tak samo nieocenioną pomocą są odsyłacze rzeczowe, zbierające wszystko co w dawnej Polsce pisano na taki czy inny temat.

Jest jednak rzeczą naturalną, że najbardziej nawet skomplikowany system odsyłaczy rzeczowych nie mógłby objąć całego bogactwa spstrzeżeń, zawartego w tych uwagach petitowych. Dlatego jeden jest tylko sposób na to, aby móc z „Bibliografii” naprawdę owocnie korzystać: trzeba ją tom po tomie wertować. Bogactwem swoich informacji i podniet „Bibliografia” podzielić się może jedynie z tym czytelnikiem, który zagląda do niej nie tylko ad hoc, ale który ją po prostu czyta. Kiedy się zaś człowiek z „Bibliografią” trochę zżyje, wtedy lektura jej nabiera szczególnego uroku. Z jednej bowiem strony jest to lektura, w której

się zawsze można mnóstwa ciekawych rzeczy dowiedzieć. A równocześnie, ponieważ układ „Bibliografii” jest mechaniczny, czytać ją można w sposób jak najbardziej swobodny i niesystematyczny: zacząć lekturę od środka tomu, po przeczytaniu paru stron przerzucić kilka kartek i czytać dalej, albo wylapywać hasła na wrywki: co popadnie. Z czasem lektura taka może wejść w nałóg. Trudno chyba o przyjemniejszy i pożyteczniejszy nałóg. Jest to coś jak małżeństwo, które by zachowało cały urok i świeżość niespodzianki przygodnego romansu.

Aby unaocznić czytelnikowi, jak bardzo informacje „Bibliografii” wychodziły poza granice tego, co się normalnie bibliografią nazywa, nie od rzeczy będzie przyrzyć się bliżej temu, jak np. Estreicher opracował w ostatnim tomie Woltera.

Co powinna tu przynieść „Bibliografia” sensu stricto? Dokładne wyliczenie wszystkich wydanych drukiem przekładów polskich z Woltera, ustalenie kolejności wydań, rozwiązanie zagadek bibliograficznych, — jeśli są; i toby było na dobrą sprawę wszystko. Może też bibliograf ewentualnie powylizczać również te dzieła Woltera, w których jest mowa o Polsce (wartość takiego wyliczenia byłaby zresztą o tyle względna, że są dobre wydania krytyczne, zaopatrzone w indeksy, tak że wzmianki o Polsce i Polakach stosunkowo łatwo z nich wylapać).

„Bibliografia” Estreichera daje jednak bez porównania więcej. Przede wszystkim więc w obszernym odsyłaczu rzeczowym wyliczyła te wszystkie książki polskie, w których bądź o Wolterze jest mowa, bądź też są przekłady z Woltera czy wyraźne jego wpływy. Zebrała dalej polską literaturę naukową, charakteryzującą czy to stosunek Woltera do Polski, czy to wpływ Woltera na różne dziedziny życia polskiego; przy ważniejszych pozycjach podano krótką charakterystykę treści. Przy tej okazji zwrócono również uwagę i na te prace, które Wolterowi sensu stricto nie poświęcone, przynoszą jednak jeden czy drugi interesujący szczegół o Wolterze w związku z Polską. Ktoś kto np. zabrałby się do pisania studium o stosunku Woltera do Polski, z łatwością mógłby bez Estreichera przeoczyć, że list Malleta du Pan, charakteryzujący stosunek Woltera do rozbiorów, jest zacytowany w pierwszym tomie dzieła Askenazego o „Napoleonie a Polsce”.

Ale to jeszcze nie wszystko. Mnóstwo uwag przynosi poza tym „Bibliografia” przy charakterystyce poszczególnych dzieł Woltera. Tak np. opisując „Histoire du Charles XII”, Estreicher najpierw pisze o tym, jaką rolę odegrało świadectwo Stanisława Leszczyńskiego w polemice na temat prawdomówności Woltera i źródeł książki. Potem następuje przegląd treści, a potem idą uwagi, które może dobrze będzie po prostu przytoczyć:

„Z dzieła Woltera korzystali potem liczni autorowie, poczynając od Fryderyka W. (Réflexions sur le talent militaire du Charles XII). Niejaki Barry popełnił plagiat (zwłaszcza co do ustępów o Polsce), na co się Voltaire w dalszych wydaniach w przypiskach żali. W opisanym na str. 32 niniejszego tomu dziele Williamsa zwrot o ustroju celt. germ. jest zapożyczony z Woltera. — Na Wolterze oparło się także dzieło Lacombe’a Historia odmian (tom XXI 19), przełożone na polski przez Książewicza (1766).

Z polskich autorów prostował niektóre informacje I wydania Stan. Ponia-towski (obacz Bibl. tom XXV 14) w obszernym dziele: Remarques d’un seigneur polonais (1741). Wskutek tego Wolter zmienił niektóre ustępy w dalszych wydaniach. — Obacz o tym Klem. Kantecki w jego monografii Stan. Pon. II (1880) uwaga 43 i 90.

Znał także i cytował powyższe dzieło Woltera Stan. Konarski (Rozmowa 1733). Była to, o ile wiem, pierwsza wzmianka o nazwisku Woltera w Polsce. — Ujemnie o wartości dzieła Woltera wyraził się Wyrwicz (ob. jego Uwagi nad Hist. odmian Lacombe’a). Wyrwicz wskazuje, że informacje Woltera zostały sprostowane głównie przez Adlerfelda (ob. tom XII 63).

Mimo że historia Karola XII jest tak ściśle z Polską związana, nikt jej w Polsce w tym czasie nie przetłumaczył. Nie jest bowiem dziełem Woltera „Historia skrócona Karola XII”, wydana po polsku w r. 1756 i 1775. Autorem jej ma

być, jak twierdzi przedmowa, „Jakiś Francuz z Burgundii zanego domu, który się z Karolem XII w potyczkach znajdował”. A więc nie Wolter. Istotnie „Historia” ta jest całkiem odmienna od dzieła Woltera. — Ob. pod Historia skrócona (w Dodatkach).

Dopiero w r. 1800 wydał Kadyi pierwszy przekład polski (ob. Bibl. V. 151).

Kot Rzeczposp. polska w liter. Zachodu (1919) str. 203 omawia zawarty tu pogląd na nasz ustrój.

I tak przy każdym niemal dziele Woltera natrafiamy tu na uwagi, które są zawsze erudycyjne, nieraz bardzo ciekawe, a czasem niespodziewane. Już więc przy pierwszym w alfabetycznym porządku dziele Woltera, tragedii „Alzyrze” (nb. bardzo bzdurnej tragedii, świetnie wykpił ją w swoich „Books and Characters” Lytton Strachey) dowiadujemy się, iż Załuski podaje, że była ona wystawiona u Pijarów w r. 1750. Przy przekładzie innej znów tragedii „Brutus” podniesiono aluzję do Stanisława Augusta z przedmowy tłumacza oraz zauważono, że „tłumacz polski opuścił b. ciekawą przedmowę Woltera do Bolinbroke’a”. Zanotowano też, iż „inny przekład tej tragedii zachował się w rękop. bibl. Morstinów nr. 65”.

Ex re znów przekładu innej tragedii, „Śmierć Cezara”, wydobyto szczególnie smakowity szczegół. Przekład temu mianowicie był dziełem jezuitów i przez jezuitów też został wydany. W przedmowie tłumacz tłumaczy, dlaczego spośród trzech tragedii o Cezarze wybór jego padł akurat na tragedię Woltera:

„Każda z tych trzech tragedii zdalaby się na nasze teatrum, które miękziej z osobami płci słabszej pieśczoć nie cierpi, ale że Imć P. Voltaire prócz tego, że równie jako i tamci dwaj tragedowie od tej pospolitej zarazy swą pracą zachował, wysokością wybornych myśli zda się innych przewyższać”.

Nie często chyba trafito się „Imć Panu Voltaire”, że był ze strony jezuickiej chwalony za „wysokość wybornych myśli”.

I oto rzecz ciekawa, nasi historycy literatury nie doceniali „Bibliografii” i często nie umieli z niej korzystać. Klasycznym przykładem może tu być książka tak z wielu względów wzorowa jak Mieczysława Brahmra „Petrarkizm w poezji polskiej XVI wieku”. Szerokość horyzontów porównawczych, świeżość metody (Brahmer, badając petrarkizm w poezji polskiej, nie zajmował się śledzeniem wpływów akurat Petrarcki, ale traktował swoje zadanie szerzej: petrarkizm to był dla niego pewien typ schematów tematyczno-formalnych), subtelność analizy estetycznej, wreszcie precyzja w szczegółach — wszystko to sprawia, że w naszej literaturze polonistycznej książka Brahmra jest zjawiskiem wyjątkowo wartościowym. A jednak książka ta, mówiąc o poczytności Petrarcki w Polsce, przeoczyła kilka polskich druków, związanych z nazwiskiem Petrarcki. Po prostu autor, który dla napisania tej książki przeprowadził bardzo rozległe i gruntowne studia, zapomniał zajrzeć do „Bibliografii” Estreicherera pod hasło „Petrarca”.

Inny przykład pamiętam z własnej praktyki recenzenckiej. Wypadło mi kiedyś omówić w „Ruchu Literackim” książkę Tadeusza Mikulskiego „Ród Zoilów w Polsce”. Książka poświęcona była apostofofom do Zoila w starszej literaturze polskiej. Błahy temat opracował autor z wielkim nakładem pracy i nieprzeciętną erudycją. Otóż kiedy miałem pisać tę recenzję, wynotowywałem właśnie z kilku tomów Estreicherera materiały do przygotowywanej pod kierunkiem prof. Kota dla Akademii Umiejętności kartoteki źródeł do stosunków kulturalnych Polski z Zachodem. Przy okazji recenzji zacząłem także „prywatnie” wynotowywać zaznaczone w Estreicherze apostofofy do Zoila. W rezultacie mogłem potem w recenzji zabłysnąć „erudycją”, sypiąc przykładami Zoilów, nieznanymi autorowi, który był dużo lepiej ode mnie odczytany w drugorzędnych zwłaszcza pisarzach staropolskich, ale o Estreicherze jakoś zapomniał.

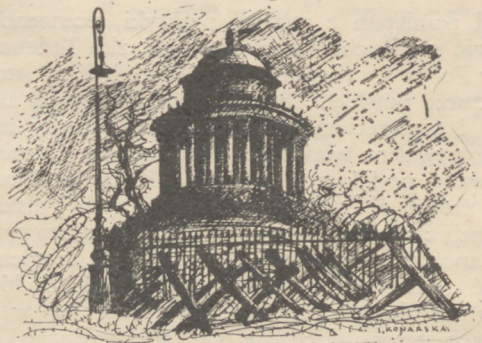
Zawsze też było dla mnie zagadką, dlaczego tak mało wyszukiwano u nas w nauce te możliwości i podniety, które „Bibliografia” Estreichera daje. Każdy jej tom przecież nie tylko wskazywał na mnóstwo, czekających na badacza problemów, ale też i oczyszczał mu drogę, wykonywał za tego badacza nieraz najmudniejszą część pracy. W pewnej mierze przyczyną mogło być i to, że „Bibliografia” była książką bardzo drogą. Tom kosztował 20-30 złotych, a tomów jest ponad trzydzieści. Aby posłużyć się Estreicherem trzeba było pójść do biblioteki. Ale to nie tłumaczy jeszcze wszystkiego. Po prostu „Bibliografia” powoli dopiero wychowywała sobie czytelników.

W pierwszym rzędzie — oczywiście — czytali ją bibliografowie i w ogóle bibliolodzy, t.zn. ludzie, wśród których „Bibliografia” miała i swoich gorących zwolenników, ale z którymi raczej musiała być na bakier (wspomniany np. wyżej Kazimierz Piekarski kilkakrotnie atakował i metodę „Bibliografii” i niektóre jej poszczególne ujęcia). Bibliografowie zresztą czytali dzieło po swojemu, wylapywali oni przede wszystkim „druki Estreicherowi nieznane” i jeśli to były druki naprawdę Estreicherowi nieznane, dokonywali bardzo pożytecznej rzeczy, ale często autor taki wpadał: zamiast wydobyć na światło dzienne druk „nieznany Estreicherowi” zdradzał się, że nie znał Estreichera, że nie umiał w nim szukać. Prof. Estreicherowi, jak to widać z jego przedmów do poszczególnych tomów, te polowania, często kończące się pudłem, trochę psuły krew. Na rozsiane zaś maczkiem petitu uwagi bibliografowie ci patrzeli — podejrzewam — raczej jak na nieszkodliwe dziwactwo, umniejszające wagę szanującej się bibliografii.

Trochę miłośników miała „Bibliografia” wśród literatów. Z pisarzy końca ubiegłego wieku takim miłośnikiem jej był Wiktor Gomulicki. Z pisarzy współczesnych smakowali w jej lekturze Tuwim i Wasylewski.

Naprawdę jednak czytelnikami, dla których „Bibliografia” jest przeznaczona, są historycy kultury. Toteż szczególnie gorącym czytelnikiem „Bibliografii” był wielki autor „Dziejów kultury polskiej”, Aleksander Brückner. Bibliografia przynosi czytelnikowi menu gargantuiczne, a Brückner był czytelnikiem o apetycie i żołądku Gargantui. Jeszcze w r. 1901, kiedy ukazało się pierwsze, niemieckie, wydanie jego „Dziejów literatury polskiej”, Brückner wymienił w jego przedmowie „monumentalną” „Bibliografię” jako podstawowe źródło swojej pracy. Każdy też nowy tom „Bibliografii” Brückner kwitował recenzją, pełną sprostowań, uzupełnień, domysłów. Na łamach zaś „Reformacji w Polsce” poszczególne tomy omawiał w miarę ich wychodzenia prof. Kot, wydobywając, co nowego każdy z nich przynosi do dziejów różnowierstwa polskiego.

Ale naprawdę „Bibliografia” Estreichera jest ciągle jeszcze w znacznej mierze drukiem uczonemu polskiemu nieznanym.





FELIKS TOPOLSKI

NOTATKI Z OSTATNICH DNI WOJNY

Bruksela. „Leavetown” natłoczone tymi samymi wciąż żołnierzkami e bez urody Rzymu, dziwaczności Kalkuty, stylu Kairu. Europa zawałista, nudna, szarokamienna — ozdobiona za to w dole, na dnie wąwozów-ulic, fryzami białych, krowich, świetnych samic. Dziwka powiada: „Les Allemands etaient chic avec les femmes, — les Americains — quel brutes”. Scena jest nareszcie udekorowana i otwarta dla żołdaczych urlopów jak należy — bez restrykcji. Huczą muzyką („Chocolate for baby and for me”) i ludkiem jaskinie wypoliturowane na „streamline”. O 10-tej wieczorem przepływa fala w Avenue du Midi i kurwi się bez „boundów”. I już tu w Brukseli miejscowa andruska przerabia się na „cutie” — świeci platynowym lokiem, bulgocze amerykańskim wymysłem, kołyszze zadem, miele szczęką. Przy Gard du Nord aż do „curfew hour” idzie handel. Wiosenne stragany napchane bzem. Żołnierze gzą się z dziwkami („business-business, five hundred francs!”).

Pod powierzchnią liberacji toczy się komedia ludzka nietknięta: ozdobne kapelusze — mężczyźni (ci co wyhandlowali zamożność) skrojeni w wypięte ubranka — i strasznie biedny ludek. Młody człowiek wydawca powiada wszystko jak było i jak jest: „żyli przez te lata w „prosperité” godziwej. Niemcy zachowywali się porządnie. List i odpowiedź ze Szwajcarii szły trzy dni tylko. Do Paryża jechałeś bez paszportu. Teraz nie sposób pojechać gdziekolwiek. List idzie 10 dni, a odpowiedź zatrzy-

muje cenzura”. Spozstrzega się, wycofuje z lekka: „no, tak, była niewola, ale” — i znowu — „wolność — teraz właśnie osobista wolność ukrócona, sens wolności tylko wrócił”. Gdzież tam prawda abstrakcji styka się z dniem powszednim? „Mogłeś wygrywać herosa” — powiada — „ale nie musiałeś” — (Jest socjalistą) — „nawet Żydzi nie byli skazani na męczeństwo — wpisywali się na nie”.



Tłusto, gęsto osiada pokój nad Belgią. „Pendant la guerre, monsieur...” mówi ekspedientka (pończoszyska 1.000 franków) w wypoliturowanym sklepie. To jest jej wojna. Tak jak pewien hotelarz refugee niemiecki w Londynie tłumaczył „co pan tyle jeździ, naraża się, wojna jest, trzeba siedzieć w domu”. Zadyszani pośpiechem, spekulacją ludzie, zamrożone maquillage’em i modą kobiety. Wytrzeszczam się na miasto-exhibit powojenności, życia w pokoju. Wstręciarstwo. Nie wiem czemu to ma być ten stan szczęścia. Ensora obrazów nie ma nigdzie. Łażę po gorącym miésciszczu—nuda Europy.

Kupczycha *de tableaux*, opasana kiepszczyzną malarstwa i antyków, tłumaczy na wyścigi z tlenioną malarką, że Bruksela prowincja, że wszystko lepsze wycieka.

Belgijska żona Polaka nie znosi Belgów płci męskiej (oszalała polskim patriotyzmem) — „naród businessu — forsa i żarcie”. „Anglicy?” Mademoiselle Dely informuje: „Mówią tylko po angielsku—górnicy, pyszni, okropni”. I rzeczywiście dwie krępe ATS-ki na platformie tramwaju z arogancją i wrzaskliwie — „excuse me, please” — rozpychają nierozumiejący tłumek.

Informatorzy, obserwatorzy, ludzkie opinie, narodowe cechy w jednym zdaniu i jednocześnie; na gorąco, dwie najnietyposze i ordynarne middle-middle-classish dziewczyska, wyżywające się w roli conquerors i rodzące nową garść opinii i komentarzy „kulą w plot”.

Ludzie potykają się o siebie, patrzą sobie w twarze, mówią, całują się, śpią i jedzą razem, niosą się z kraju do kraju — ale dzisiejszy Babel wymieszania ras myśli i skłóca. Człowiek nosi w sobie swoją miarę i swoje sądy a priori — omija obce mu „ciała” z astronomiczną obojętnością, albo zderza się kataklizmem. Przesady chwytają imaginację — prawdy są za zawikłane — nigdy nie są skrótami, więc nudzą.

Wschód - wyjeżdżamy z Brukseli.



Sobota. Wyjeżdżamy na krajoznawcze zygzaki po Belgii.

Śluby odbywają się w soboty: przez miasteczka podrygują karocoje i cylindry — mniszki zdobią parami pejzaż — dziewczyny na koturnach i w kapeluszach-rusztowaniach noszą się aż po przedmieścia Brukseli — wojennie, a bez kontaktu z życiem kraju, huczą maszyny brytyjskie, walące po cięciwach dróg.

I jeszcze elementy Belgii: — karuzele, klony kwitnące, perszerony włochate, a w Aalst — w streamlined modernej tawernie siedzą ciężko i staroświecko chłopcy flamandzkie przy piwie.

Ghent zatacza w pośpiechu urodą katedry, zbiegowiskiem ciężarówek, pyszniącymi się domami burgerów ze schodkowatymi fasadami, z których sterczą w pół maszty flagi czarno-żółto-czerwone — żałoba po Rooseveltcie.

Walimy prosto wielką i cichą szosą na Ostendę — cichą, bo (wojenny rozmach), pękem rur płynie, razem z drogą, transport benzyny z Anglii — 300 mil aż do Niemiec.

W Ostendę zajazdzamy od podszewki portowej. — stłoczenie transportu, baseny, rybackie szkunery — brytyjczycy karmią tędy wojnę.

Na drodze do Brugge płaski pejzaż służy pobożnie cywilizacji. Belgia aż boli proletariatem w dobrobycie, lizajem osiedli wzorowych, sub urbią bezwsiową i bez sentymentu. Belgia dzisiejsza i stare domy flamandzkie, nędzny prowincjonalizm dobrobytu i wielcy malarze XVII wielu to obce sobie sprawy. Ensor wypłynął talentem, ale musiał maskami żonglować w samotności. Majstry techniki reprodukują sztukę lepiej niż inni — ale jej nie robią. Sentymenty kanałów, mostów zwodzonych a la Van Gogh, dziewczyn zawieszonych nie wystarczają. Wjeżdżamy starą bramą w Brugge w handlowym tłoku (świat gdzie pies nie zarabia miłością i wdziękiem na chleb, ale tarmosi się w uprzęży wózków) w piękności, ale nie takiej, jakim sobie asocjował z tym miastem, — a więc nie kręto-uliczna forteczka średniowieczna, ale gładkie miasto-muzeum. Dobrze, że wodzą się po nim polskie żołnierzyki w szpitalnym ubranku niebieskim, że angielski elegant ofiarowuje Brugge kolor i linię rycerskiego kostiumu parafortunisty.

Pędzimy na Antwerpie, jedyną „honorową” ranę Belgii. Spieprzona flying-bombami wygląda heroicznie i nudno. Czegóż ci Belgowie wybudowali

obok siebie dwa wielkie miasta? Które jest prawdziwsze? Które rozrosło się siłą snobizmu tylko? Chyba Bruksela z jej arkami triumfu nie wiadomo jakiego.



Niedziela. Wyjazd z Brukseli. Pokrapia — powiewa — zaglądam do P.O.W. Reception Centre — jeńcy uwolnieni wtulają się już w nudę fotelika, starego „Daily Express’u”, pociętej brzytwą gęby, wymytej niedzielnie i splaszczonej zadowoleniem — próbują jeszcze podsuwać już wyblakłe (od wczoraj wieczór) historyjki o męce — nudzą — rezygnują więc — płacą stratą aureoli za domowość na wieki wieków...

Bruksela zostaje za nami. Pod deszczem przedzieramy się przez nudę ichniego Bois de Boulogne. (Znowu prowincjonalne małpiarstwo gestów Paryża i Francji Łukiem Tryumfalnym — Bulwarem Wielkim — parkiem nudy). Bruksela i przywrócenie mieszczańskiej schludności wojownicy zostają za nami, — jedziemy w pogoni za ostatnimi dniami CZASU HEROICZNEGO.

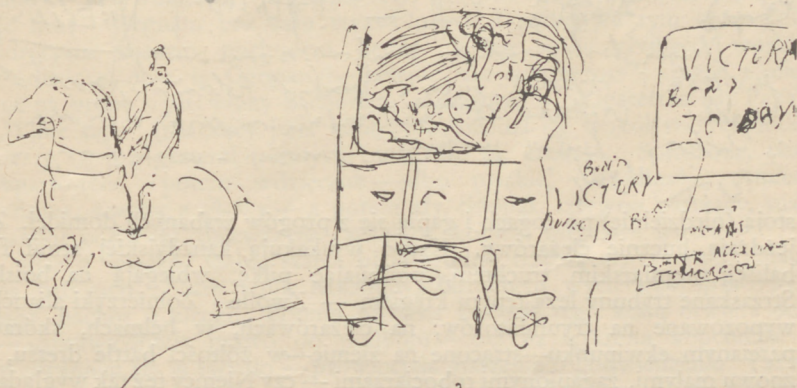
Znowu ta Belgia natkana ludem, napstrzona domkami-zmorami; nie ma Ziemi, tylko poletka nakarbowane ludzką skrętnością — ufryzowana natura w kiecce i kapeluszu w złym a dostatnim guście.

Louvain poharatane, z wypatroszoną katedrą, idzie na zakupy. Facety w średnim wieku w „jesionkach” wiodą ciężkie panie. Księżule patrolują wokół uważnie, bronią, pilnują grzeczny ludek, zagrożony schizmą myśli

niebezpiecznych, albo spiskiem, o jakże niewielu, co bazgrzą w bezna-
dziejnych zabiegach sierp i młot po ścianach. Pomędzy złowieszczymi
znakami i czerepem katedry, Louvain osiada wienne sprawy. Wjeżdżamy
w drogi z rudymi ścierwami wojennego żelastwa, grzecznie zaplecionymi
w szeregi porządnych domków i drzewek, z „paniami” plotkującymi po
skrzyżowaniach.

Ale gesty patetyczne zandarmów (steny przez plecy) wskazują wschód.
Pędzimy z łoskotem — wyprzedzamy (tak się nam wydaje) płaskie życie
belgijskich miasteczek, niedzielną czerwono-ceglą nudę, parasole, ko-
ściółek — i bzdurnie przecinające rowerową dróżkę dwa kopczyki
z krzyżkami ubranymi w hełmy pruskie — mętny, stateczny pejzaż
i dyskretna tragikomedialna niemieckiego podboju.

Bez żalu za Belgią wpadamy (bez poczucia granicy) w Holandię (za-
luzje malowane w „frankę”). Eindhoven — miasto-zmora Philipsa:
niewola w dobrobycie. Gładzizna pejzażu, nic holenderskich domków,
dziewcząt w sabotach i czepkach, nie ma wesołych Holendrów, natłoku
tulipanów, sterczy czasem wiatrak. Cywilizowana, przycięta równia ludzi
poczciwych...



Laverne - dołupak maszynobalona i... na...
(The text is handwritten and partially obscured by a scribble.)

Staranne w kupki ułożone szkielety gliderów — zbliżamy się do Arnhem.
Sfera działań kanadyjskiej armii otwiera się rojem VICTORY BONDS
ogłoszeń — tak oto potęga militarna rekoszetuje powojennymi zabiegami
o zapobiegliwy pośpiech Holendrów — pokazuje bezwstydnie podszwękę
„Citizens’ Army” — kiedy znowu chłopak na perszeronie pięknym galopem
udaje heroiczną przeszłość. Mieszają się sprawy i jak oliwa fałsz dni
naszych na wierzch wychodzi. Ale to są zmory tyłów i końca wojny. Gi-
gantyczność ruiny-masakry jeszcze jest tu ciągle. Arnhem było przecież
wzięte dopiero co. Holendrzy, jak Londyńczycy, wywieszają chorągiewki
na wypaproszonych chałupach. Ale też wyglądają dziwnie zdrowo jak
na wymierający z głodu naród. Amsterdam i Haga — powiadają nam —
tam jest głód. Później ci, co pojedą na północ opowiedzą nam o ludziach
głodnych, a godnych, o wyprasowanej nędzy, „small talk” o kromce
chleba i o śmierci głodowej za wykrochmaloną „zazdrostką” pozorów.
Dudnimy po moście nad Renem naładowanym bitewną historią.
Arnhem „liberated fully” wieje smrodem i mordownią, — szlach-
tuz budulca — już nie ruina. Krzywo sterczy transparent kinowy
„Hab’ mich lieb”, huczy swoim prawom podległa wojenna „traffic”.
Chorągiewki biednie trzepią się oranżem i trójkolorem po gruzach. Booby
traps. Kratery. Białe taśmy obrysowują muzealnie co lepsze okazy.
Zmiażdżone drzewa „steal the show” domom. Otwiera się uwerturą
grozy pejzaż wyzwolonego kraju. Natłacza się ludek (jesteśmy w ognie)

kampanii) jeszcze niewracający w rutynę; emocjonuje się, grupuje w entuzjazm, płynie wdzięcznościowymi gestami. Flagi rosną, stoją w ogródkach zgrabnych domków. Ale to pasaż wiejskości. Znowu wpadamy w zmiażdżone miasta (Igssel-Zutphen-Hengelo) — ludek nie powiewa;



Niemca bierze... domki; nurem...
 w... w... w...
 kam...
 ...
 ...
 ...

stoją (niedzielnie) po rogach i gapią się z progów zrąbanych domidel. Zajeżdżają hucznie ciężarowy. Krępo wyskakują kanadyjskiej armii futbaliści; rutyniarskim truchtem, podbijając piłkę, wbiegają na boisko. Strzaskane trybuny leżą tępym kręgiem — Zwolle. Żołnierzyki alianckie wypożowane na tryumfatorów, na ciężarówkach, w hełmach, skórach, parciانىم ekwipunku—stracone na ziemię—w żółtości battle dressu, są znowu małymi, zagapionymi robociarzami — czy Niemcy też tak wyglądali? Almelo — labiryntem znaków zajeżdżamy w domowość Press Campu, rozmów bez końca, znajomych spraw i twarzy.



...
 ...
 ...
 ...
 ...

Poniedziałek. Wyjazd na Niemcy. Borne w dzień powszedni jeszcze mętniejsze. Hengelo zieje hożym trudem. Oldenzau zawijają nordycką szarością.

Van Gogha smętni chłopci, drogi płaskie a odrzewione nie warte są świeczki, — cóż za ubogi materiał — znowu trzeba było szaleństwa (introwersyjnych zapatrzeń), albo ucieczki w Prowancję, żeby talent rozdmuchać.

Kryterium wyrazu versus charakteru. Wgapiamy się w pojedynczą twarz ludzką — wkopujemy się pod powierzchnię wygładzoną dwudziestostuleciowym dobrobytem, albo, kiedy w olbrzymim, cudownym świecie, delektujemy się różnicami — a więc charakterem. Wyraz to szukanie jednolitości (łatwo więc dostaje piątkę rzymską od krytyka) — charakter to pościg za niekończącą się odmiennością (przegania zastalego dziennikarzynę i niepokoi). Więc synteza będzie nie tylko w komedii pojedynczego człowieka sumującej się w epos ludzkości; ale też w charakterze — dziwności świata — z wyrazem człowieczeństwa przedzierającym się przez kostium. Malowanie ukrzyżowania w kostiumie dnia i kraju.

Dojeżdżamy do granicy. Trach. „Umęczeni” Holendrzy ustępują ludowi krzywdzicieli. Zagadka Nr. 2 (po Rosji) odmyka się przede mną. Żegnam bez żalu wyzwolonych i pędzę ku tym co z kolei udęczeni naszym pochodem będą. „Here ends civilized world”. „You are now in Germany — behave like conquerors” slogan z miejsca na próbę wystawiony bachorem, męczącym o „Zigaretten für Papa”. „White tape” (znaczący pola minowe) obwodzi się wokół szarych ludzi. Gesty są już gestami pobitych, na które się czekało. Spłoszone, psie, zaparto-tche, potem wdzięczne — albo płaskie, służalcze, uśmiech tchórza, czapka z głowy — a potem zły chłopak sztywno patrzący, mały bachor beztroski, dziewczynka czekająca, kobieta turgająca wózek.

Płasko płasko, szaro, szaro; białobrudno trzepią się szmaty poddania na patykach. Szaro stoją hausfrauy, fartuchem wycierając spracowane łapy, bachor u kiecki. Ponura, bzdurna żadność tego kraju otwiera oczy — usprawiedliwia prawo do podboju — toż to tęsknota kopciucha za wyrwaniem się w światło — prowincjała marzenie o „odwiedzeniu” Paryża musi się przerodzić (bo za szary, za minderwaertigowaty, bo go nie stać) w WMASZEROWANIE w Paryż. (Coś w tem jest — chociaż uroda Niemiec południowych zadaje kłam koncepcji).

Pejzaż wojennej drogi — wehikuly w rdzy — taśmy, druty, błoto, baby uwiązane u wózków, dziadygi kopiące rozpaćkane drogi, blaszanki po amunicji i benzynie — wjeżdżamy w Lingen — i w scenę pięknie wyreżerowaną:

Rynek rozharatany artylerią z kawalkiem Rathausu ubranym w szyl Military Government i flagi brytyjsko-amerykańskie. (Pamiętam znamienią pantominę bitwy loretańskiej — Polaków uznojonych i owianych zwycięstwem, wciąż prowadzących bitwę, ale w roli zaciężnego wojska — i procesję władz municypalnych ze zwojami dokumentów przez rynek Loreta i już w huku bitwy polsko-niemieckiej ceremoniał obejmowania władzy przez amerykańskiego dryblasa i wywieszanie AMGOT-owych szyldzików i flag). Popisy buldozera rozgniatającego nosem stalowym resztki „Apoteki” w łoskocie i kurzu walących się pięt. Uległy w podziwie niemiecki tłum. Jeńcy w konwoju. Paddock narodów w kostiumie żebracza-żołnierskim, w aurze rozboju, byczenia się i nędzy. D.P. (Displaced Persons).

Lingen D.P. Camp. Pierwszy obóz ale z tych najszczęśliwszych. Koszary kawaleryjskie, w które zagarnięto masy, płynące drogami. UNRRA nie pokazała się na czas i Civil Affairs w osobie majorka brytyjskiego i kilku łączników posegregowały i karmią gromadę.

Nędza, przygnębiające stłoczenie — obora, chlew, stajnia przyhołubiają ludzką trzodę. Zatechły pejzaż wewnątrz pełnych miazgi człowieczej. Rozróżniasz, wysupłujesz ludzi. Nagrzani twoją uwagą otwierają się

pawio: żołnierz polski przywiązany święcie do niezgrabnego munduru, jugosłowiański młodzik z czerwoną wielką gwiazdą Tita, ruska nabita zdrowym mięsem dziwa, francuski jeniec bliski już domu — major brytyjski otwiera walizy i pyszni się łupem: sztylety SS'ów, Lajki, fajansowy dzbanek ze złotą polewą. U progu rozplaszczony ciało na noszach — chłopek ruski zapił się spirytusem z lampy. Zżarta rodzeniem i hańbą polska matka z niemowlęciem u piersi wsparta o ścianę wymalowaną w pompatyczne, wehrmachtowe żołdacy i w niemieckie, radosne rodziny wpatrzone w słońca wschodzące. Tłucze się o druty kolczaste człowiek z osłupiałym okiem. Naprasza się katarynką: „ich bin nicht Deutsch, ich bin Lothringer, ich bin nicht Deutsch”. Zostaje za nami. Słyszymy ciągle „ich bin nicht Deutsch”.



Teraz już do gi pęcnieją ludem. Rozdziawione żółto drzewa, „road only checked” znaki dzierżą wędrownkę. Tłumy na włoskich drogach były inne — pobite, zgniecione i „miejscowe”. Tutaj są wyzwolenicy, jest trud ale i buńczuczność, jest mieszanina nacji i historii przeżyć. Niemcy — jeńcy toczą się w lorach, sowieciarze, Polacy, Francuzi, Belgowie, Jugosłowianie, Holendrzy, baby ruskie, mongole, slaves z fabryk i pól — idzie to wszystko grupkami małymi, trywialność dnia powszedniego i dystansu rozrzedza dramat. Pędzenie przez to autem oddziela, ale też zagęszcza elementy. Zatrzymujesz się — panorama innego wymiaru splywa na ciebie, obejmuje — jesteś w życiu drogi. Rozmowy parcelują grupy na nacje, charaktery, gesty, życie sterane kształtuje się w niezgrabnym słowie.

I nowa grupa. Stajemy. Niepodobni do innych, niepodobni do nikogo na świecie, łatami naszyte łachy pajaca, zżarte brudem kościotrupy — też godniejsi — umęczeniem. Dostają papierosy ze skąpej łapy Geralda, mojego „conducting officer’a”. Śmierdzą trupem. Skąd? I pada po raz pierwszy „Konzentrationslager Schwagerl bei Papenburg”. Ci idą na skrzydłach. A Gerald nie wierzy. Myśli, że przebrani niemieccy żołnierze. Prawda — potem będę wiedział, że to był obóz dezertorów.

Śmiga z bocznej drogi jeep — khaki ładunek przerwany szarozieloną wypuczoną drutami czapą, — przychwycony pułkownik S.S. Podchodzimy pod wojnę, roztrzaskając gromady ńedzarzy. Moskale ufarbowani na ciemnozielono prezentują całą gamę ludowości od rozbuchanego Wańki poprzez zagubionego Mongola do „babuszek i dieduszek”. Kij pod

pachą, rower damski piętnują grabieżców. Polskie żołnierzyki kuksają się z ruskimi „diewuszkami”, pocieszają „mamasze”: „Kak pażywajesz, siostra” — „Nu charaszo. Kagda wierniomsja damoj?”. Albo diewuszka: „Wot, tiepier mnie Amerikanca nużno — po Nowym Jorkie pakatatsa”. Albo: „Szto mene takoj Stalin. Swet wetykyj”. Ot, ludzie. Nie obejmują spraw polityki i historii. Jedni (kurtyna determinizmu sowieckiego życia rozdarła się i otworzyła przygodę) nie czują zadry ziemi ojczyste.



Inni nie widzą (jak obiecywano), że zachód lepszy. Bo i harował gdzieś na wsi zapadłej pod Münsterem, a teraz ogniem i mieczem zrypana Europa nic nie różna od Ukrainy. Inni znowu natoczyli się rabunkiem, białymi dziwkami, otumanili wińskiem i łatwe życie zbója im wystarcza.

Polaki znowu nadkarmione „Ojczyzną” (i że przedmurze Zachodu górnje patrzą na ruską trzodę... „Panie, ja do takiej Polski nie wrócę” powiada andrus z wybitym zębem. „Patrz pan — toż to motłoch”. Albo: „Już się do wojska zapisałem” (wymęczony wytarty, żołnierzyna z 1939) — „z ruskim będzie zadziór i jak trzeba to będziem prali”. Albo: „Różne propagandy robią, ale my wracamy”. A znów chłopki-roztropki z Mazowsza siedzą po wsiach Westfalii i Hanoweru i nie myślą wyłazić na drogi i wpadać w młyn światowych balansów. „At, doczekamy końca, zobaczem — tu dobry naród”.

A Francuzi grupują się na skrzyżowaniach dróg i hucznie wiwatują i jadą do „la Patrie”. Też Belgowie. Też Włosi. Jugosłowianie noszą za to jakąś godność niepojętą w mundurze Rurytanii.

Chamstwo, werwa, wyzwanie, pokora, męka, samotność płyną drogami zjednoczone łachmanem, tobołem, kierunkiem — ale nie celem. Uproszczony pochód ludzkości, groteskowy, litość budzący, płaski, rozcieńczony wulgarnością spraw codziennych, trywialny humorem, łapczywością, powolnością pokonywania mili za milą — ale zawsze pochód — ale zawsze ku wolności.



Ale wielkość i patos ofiarowuje coś czego się nie widzi. Obraz—wpisany w katalog historii: „Niemcy pobite. Wolność dla milionów niewolników, kwiecień 1945” — przychwytuje wyobraźnię świadomością dziejów spełniających się tu w kurzu szosy oldenburskiej, w ramie rozkwitonych wiosną sadów, niemieckich trudów rolniczych (siewcy — chociaż zastrachani—wychodzą gęsiego w bruzdy) — z ogromną rzeką zbrojnych maszyn, dudniącą Bayleya mostami (motyw centralny obrazu), brzęczącą żelaziwem i gruzem zmiażdżonych miast, porykującą artylerią, trzeszczącą salwami.



Zagęszczenie transportu, znaków, żołnierstwa, broni, taśm owijających minowe pola, drutów telefonicznych—kottlowanina tyłów taktycznych

otwiera się na wielki pański dom — hall w XVIII-wieczne malowidła, sztabowcy, komfort przenośny dowództwa, lokajstwo kucharzy w mundurach, i w parku strzyżonym „caravane“ generalski.

Ale kiedy Gerald rabuje i grzebie się w prywatnych pokojach, a blond babsko pozwala sobie na protesty (a potem wrzeszczy w panice, kiedy żołnierze dziobią ogród antenami i już tuż, tuż dobierają się do jej zakopanych skarbów), wiem, że państwo Landratostwo są ludźmi regime'u, że nie należą do tego domu, że obrzydliwe, a zamożne graty, że mapy automobilowe i wody kolońskie, tandetne księżczyzny (stara i godna biblioteka na strychu) i albumy fotografii familijno-partyjnych otwierają przede mną brzydką nudę nuworyszowskiego życia Niemiec Hitlera.



„Prisoners of War Cage”. Przekraczam dopiero teraz próg spraw nieznanych.



Nastroszony drań, co przez ostatnią noc przed wejściem Polaków wystrzelał 150 ludzi z rewolweru, zdążył przebrać się prawie za cywila, przyłapany, zбитy, stoi teraz w jednym bucie na parogodzinną „bacność” (naw-

na kara) w centrum znamiennej sceny: klatka ze strażnikami obozu koncentracyjnego — „Konzentrationslager Papenburg”. Z lewej tłum byłych niewolników, z prawej jeńcy wojenni (później zobaczą jak cudownym szczęściem dla nich jest to, że nie są trupami a marzną, stłoczeni w strachu ciężkim).



Umęczeni wyzwolenicy rozkrzyżowują ramiona, obnażają szpetne, wstydlive torsy, skurczone genitalia — gest oddania, ufności, też gest-narracja męki. Sypie się w te golizny biały pył dezynfektantów. Stoją niewinni męczennicy w chmurach białych, jak wniebowzięci—tak powinien wyglądać Sąd Ostateczny. Aniołowie-mściciele — żołnierzyki polskie, potępieni w drucianej klatce strażnicy—grzesznie pozujące szatany. Czyściec — to szare niemieckie żołdactwo. Maluczcy będą wywyższeni...



Potem, arcy-grzesznik — dyrektor obozu. Teatr. Ludzie grają role których wyuczylili się na melodramacie. Grzesznik gra godność. Badający sierżanci próbują wdrzeć się w jego prawdę, ale nie umieją. Ama-

torzy. Aniołami są przecież—prości, dobrzy chłopcy i nie im obracać się zgrabnie w rutynie prokuratorów, śledczych sędziów i brutalni. Sąd Ostateczny też zawiedzie. Święci nie wymotają z siebie decyzji morderczych...



„Konzentrationslager”. Wstrząsająca konfrontacja z marą senną. Aparatura wież strażniczych, drutów, budek malowanych w swastyki. Tajfuny zaatakowały obóz dzień przed „liberation”, spraskały bombami



baraki, zblastowały, popaliły ludzi — leżą fantastyczne przedmioty-ciała, przetrawione na przedziwne kukły w kolorowe centki, albo ze zwiniętymi w rolki popiołu kończynami. Tłum więźniów szalał po obozie, wylał się w pola, strażnicy walili salwami...

Kilku jeszcze zgubionych czy ogłupiałych płacze się wiernie, trzyma się baraków — „należy” do swoich cel.

Władzę przez rozwaloną ścianę i gapię się — wtłoczone dwa ludzkie łachy w mroczną przegrodę. Jeden trupi, owiązany okrwawioną szmatą

sztynno wpatrzony we mnie — leży, drugi bije wszy, grzebie się w łachach, zamiera w zagapieniu. Inna klatka: grzecznie siedzi w pozycji więźnia (niezmienionej od lat) na brzegu pryczy zatęchłej, z kubłem-klozetem w rogu pod niskim okienkiem — „Arrest”. Obrazy nigdy niewidziane, a wyobrażone z trudem, są bezwstydnie blahe i codzienne. Codziennosc właśnie, rozmawiany sprawami dnia powszedniego dramat. Bitwa zdobi się w dymy i pożary — stroi scenę w grozę. Tutaj świeci dzień zwyczajny, zwyczajnie drepczą ludzie, zwyczajnie i przytomnie plotkują — w okolicznościach szaleństwa.



Jesteśmy w obstrzale artylerii (pamm — fiuuu — trrach). Grzeczne domki, wybebeszone z dóbr płaskich — podły szary dobrobyt naszego wieku. Cała cywilizacja mieści się w worze rabusia — rozsypuje się fotografią ślubną, radiem, cylindrem pogrzebowym, żelazkiem elektrycznym, zegarem giętym w mahoniu. W uliczkach wiejskich wwalamy się w domy i sklepiki. Smith i Gerald plądrują zachłyśnięci, natchnieni. Płaczą się za nimi, w głupim wstydzie, grzebię w starych listach, nastawiam aparat, uciekam przed nastraszoną babą za szybą, obchodząc grzecznie grządki ogródka (Smith, świadom podboju, depcze na przelaj).

Krowa napuchła sterczy kopytami, obsypana ironicznie chorągiewkami w swastyki. Niemiecka krowa, psia ją mać... Artyleria grzeje, piechota defiluje leniwie, przeladowana łupem, poniektóry na rowerze — przejechalimy za daleko do przodu. Zaganiam Geralda. Gentleman i oficer napycha auto ohydny gratami — instynkt Caledonian Market — mebluje swoje „młode życie” kradzieżą i tandetą, obciąża się balastem, którego nigdy już nie otrząśnie.

Cofamy się na TAC brygady pułkownika Skibińskiego — pancerni rycerze grupują się wokół wielkiego wiatraka. „Panie, my teraz za Herrenvölków — ale dni, tygodni parę i znowu będziemy pauperami Europy”...

Na politykę nie ma czasu — robota wojenna wyczerpuje zasoby energii; rozmowy o Polsce, Rosji i Jaltcie nie wydestają się prawie że z Anglii — topią się w La Manche. Znowu jeńcy. Bufiasty niezgrabiarz w czarnym — Panzerjaegerabteilung 20 — darzy go się szacunkiem — należy do białych kruków, — wielkich Panzerchorągwi rozbitych już do szczeru.

Pewnie, że żale za tym, czego nie ma w zasięgu, są ludzką, a więc i żołnierską strawą. Pewnie, że w Burmie i we Włoszech widziało się wojsko pod presją nowoczesnych przesądów (że wojna jest okropną koniecznością), obdarzone trudem i niebezpieczeństwem, a odcięte kordonem żandarmów od rozkoszy żołdactwa. „Out of bounds” jest na wschodzie refrenem żalonych urlopów żołnierskich. Ale tu, w zwycięskiej kampanii, z brukselskim zapleczem gościnności kokociej i holenderską wdzięcznością, wojaczka nawróciła do tradycji — pulki pancerne prą naprzód opite tryumfem, rabunkiem, zemstą.

„Szliliśmy na Papienburg w ogniach, jak Kmicice”, powiada pułkownik Dowbór. Przegoniliśmy sielankę postoju I pułku i wjechaliśmy w bojowy (jakże mu tam) biwak 24-go. Pułk, ba dywizja cała, siedzi w sieci kanałów i blocka — galopady tanków, brawurowe oskrzydlenia urwały się — Papienburg był ostatnim gestem zagończyków — teraz kolej na żmudne wymacywanie Niemców i przedzierania się przez bajora. Niemcy bronią się ostro. Jeńcy mają zawsze te same informacje: „Amerykanie odepchnięci za Ren i od nas tutaj na północy zależy zwycięstwo”. Tragiczna bzdura.

Wykład o wadach Shermana i zaletach Cromwella. Cromwell — to ogier ognisty, Sherman — krówsko. Zajeżdża z łoskotem tanczysko-ogier, wdrapując się w wieżyczkę, jedziemy w linię. „Staff-car za miętki” powiadają.

Pięknie się Cromwell przymierza, zwalnia do zakrętu, galopuje szosami, płynnie w sypkiej fali rozprysku czarnoziemiu — siła i ognistość, sens szarży i fantazji — rozumiem kawaleryjskość dywizji pancерnej.

Czystość, rycerskość wojskowej aury — egzaltująca prostota i podniosłość spraw. Ciągła próba męskości, koleżeństwa — cnoty mnożą się i przychodzą nie trudno w aurze zwycięstwa. Niebezpieczeństwo opływa sprawy najbliższe przedziwną radością. Rany lekkie podniecają, ciężkie rany i śmierć pasują do całokształtu rzeczy — są daniną konieczną — nie wstydzą żywych i całych. Proste, chłopskie byczenie się żołnierzy sublimuje się naturalnie w elegancję i szlachectwo oficerów. Na manewrach myślało się: „Psiakrew, trochę zanadto tej chorągwi pancерnej — szlachty i ciurów”. W akcji — sprawie uregulowanej klaszyczną i naturalną strukturą — wszystko pasuje. Komunały dni naszych: konspiracyja, armia obywatelska, wojna-zło konieczne, walka, bo trzeba dla tego czy owego, ale wbrew sobie — rozplývają się „w potrzebie”. Pokój przekazuje wojnie ładunek „obywateli” — „żołnierze” to już inna sprawa, inni ludzie.

Robota żołnierska nie może być przyrównana do rzeźni, jak nam próbowano wmówić — wojaczka uderza we wszystkie elementy ludzkich emocji, a ciasny spłot walki i śmierci zaostrza tempo życia. Zapłacą ci ludzie za te zachłyśnięcia narkotyczne nostalgią mętą, niepokojem w czasach pokoju.

Asocjacje z Londynem w blitzu. Jasnym dla mnie było wtedy, że życie w wojnie ofiarowało mieszczuchom (poza momentem koleżeństwa) sens heroizmu, spełnienie siebie samych. Że każdy sklepikarz miał dzieckiem swoje sny o czerwonoskórych i bohaterstwie; że żył szaro i niekompletnie, że fantastyczna fortuna wojny przyniosła mu dar przygody, że pasywnie stojąc na progu swego sklepiku stał się z dnia na dzień centrem uwagi świata i rycerzem. Że „business as usual”, płaski slogan shopkeepera, powiał sztandarem wielkości. Płacił we wdzięcznym uniesieniu little man londyński gotowością na przetrwanie (drzemanie w schronach też stało się cnotą) — śmierć stała się małą ceną. Rozdarci bombami sąsiedzi i sąsiadki wypełniali dumne narracje, obwieszali krwawymi girlandami pychę tych co przeżyli.

Zajeżdża chłopina na rowerze. „Dzień dobry panom oficerom”. „Polak?” „A juści, Polak”. Groźną historię wypłata o złym naziburmistrzu, o donosach, o zsyłkach. Montujemy karną wyprawę, dwóch

żołnierzy ze stenami (jeden z niemieckiej armii za tłumacza). „Pasa nie wzięliście, cóż to za patrol. Ano niech tam”. — Podoficer — oficerowie. Kroczymy zaognieni oczekiwaniem grandguignolicznym. Ale nastrój się gubi. Dołącza się porucznik z wąsikiem ciemnym: „Cóż wy, toż ja u tego dziada mieszkam. Dajcie pokój. Siedzi w kuchni grzeecznie. Co tam będziecie sceny odwalali”. Paskudziarz zakopał legitymację partii. Znalaziona.

Wiemy wszyscy o tych pierwszych (po zakończeniu nieinteresującej się cywilem operacji bitewnej) wymacywaniach kierowanych donosem. Wiemy o strachu rozplywającym się wobec bezradności żołnierzy, ale też o nerwowej gotowości ich karabinów. Wiemy, że potem jest spokój — aż przyjdzie Gestapo. Jesteśmy tym wojskiem — wiemy już jak spod helma patrzeć żołdackie oczy i myśli. Też wiemy (aż za dobrze), co czuje szary burmistrzyna. I to przeszkadza paskudnie — omija interogator sprawy donosów — wpada w rutynę regulaminową: — „spisać członków partii, wydać broń.” Znowu uderza młodość (w kontraście z pooraną grzechem starą mordą hitlerowca) i nieśmiałość chłopców-żołnierzy — nieśmiałość wobec prawa do bezprawia. Wracamy z czczością śmieszną. „Trzeba było go w mordę walić”. „E, nie umiałeś się zabrać”. „U nas toby się skopało cholere” — nikt nie wierzy. I potem znowu indagacja innego nazi obabranego szpetnie donosem — i ta sama, jakże wzruszająca, bezradność ludzi dobrych.

A za oknem śpiewy. — Natasze i Katie ukraińskie piorą z chichotem i basatykowaniem bieliznę Maćków polskich. Karty, harmonia — w cieniu zaspanych tanków. Zawadiackość znowu podszyta urokiem nieśmiałości.

Tajfuny opryskane salwami APL'u, zataczają kręgi nad horyzontem spadają jastrzębio na jakieś chałupiny. Dymy wałą im naprzeciw i wyżej aż odbijają się od rozslonecznionych obłoków. Gramolimy się w tank i turkoczemy w tamtą stronę...

d. c. n.



M I Ł O Ś Ć

Gdy szcujesz mnie gwiazdami
przez drogę moją grodzoną ciemnością
— to — biegnę, Boże, zwierzak mały
z garbem głowy na barkach zdrowych
ku swym głupim, ku ziemskim miłościom.

Gdy do nich mówię — na powietrzu
zostają ślady jakbym gubił
swe wargi ciężkie, czy żelazne
niby podkowę w drogi kurzu.

To tędy wrócę, po tych śladach
swych słów daremnych, które dałem
miłościom ziemskim — i tu zadrzę
gdy potknę się na słowie swoim,
tak obcym gwiazdom z których patrzysz.

Lamsdorf 21.11.44 r.

O Ł T A R Z

Gdzie jest kładka jaskółczych skrzydeł
ponad ziemi powieką ciężką
— tam spojrzenie jest Twoje. Często
świat jak olbrzym pijany chwycił
kościółka pięścią, gdzieś na wzgórzu
cień Twój ulotny. Sosen gest
chwycił Cię bliżej — ale deski
pryczy najprostszej, w której kurzu
głowa ma klęczy i poznaje
żywicy woń — jak gdyby pot
zastygł nieuczki — kiedy człowiek
szukał tu Boga swego kraju

— proste deski izby więziennej
były Ci bliższe. Lada drzazga
niesheblowana więcej miała
boskości w sobie niżli ołtarz.

Lamsdorf 23.10.44 r.

STANISŁAW OSTROWSKI

PEJZAŻ UTRACONY

Mazowieckim pejzażem nad snem się nachylasz,
Balsamem marzeń spływasz na stęsknione serce...
Rano otwieram oczy: długa miją chwila,
Nim patrząc w obcy ogród malowany czerwcem,
Pojmę — to nie ta zieleń i nie moje niebo —
I pięść w gniewie zaciskam: dlaczego? dlaczego?!

Niebo mojej tęsknoty ma barwę jedyną...
A choć wiele na świecie jest ojczyzn piękniejszych,
Wszystkie palmy przysłoni mi zwykłą brzezina
Mój pejzaż mazowiecki — uboższy i mniejszy.

Nie wiem, ile dróg jeszcze przemierzę, nim wrócę
Do kraju, gdzie została wszystka miłość moja...
Dzisiaj, przed obcem pięknem mogę tylko uciec,
Kiedy — na wrogiej ziemi i w cudzym pokoju —
Noc mi w końcu podłoży pod senne powieki
Mój pejzaż utracony, mój pejzaż daleki.

Lubeka, w czerwcu 1945 r.

ZYGMUNT HAUPT

UWAGI I SPOSTRZEŻENIA FORTUNATA ZAJĄCZKOWSKIEGO

Jedną z moich przyjaciół-znajomości był Fortunat Zajączkowski. Mieszkał przy ulicy Bonifratrów, pod szóstym numerem. Był to starzec niezmiernie wysoki, astenicznej budowy, aż mnie dziwiło, że dożył lat siedemdziesięciu paru. Był niezmiernie dobrze ułożony i uderzająco grzeczny i odznaczał się niecodzienną kulturą.

Zapoznał mnie z nim jego kuzyn, młody człowiek którego łączyło ze starym jedynie jakieś pokrewieństwo i nic chyba poza tym, bo byli o najbardziej biegunowych zainteresowaniach, no i dzieliła ich różnica wieku. Nazywał go „Zającem” i od czasu do czasu sygnalizował mi, że „Zajac” pytał o mnie i chciałby mnie zobaczyć. Nieraz też spotykałem Fortunata na samotnej przechadzce i wtedy budził się z zamyslenia i pochylał ku mnie, w swej czarnej alpakowej marynarce, która na jego skośnych obojczykach wisiała straszliwie pofalowana i luźna.

Wymienialiśmy z początku parę obojętnych zdań i zwrotów na temat jego zdrowia, przy czym urywał on tę rozmowę bardzo szybko i bardzo grzecznie zapytywał mnie, czy nie miałbym nic przeciwko temu żebyśmy razem przeszli się, ale niezbyt szybko i nie gdzieś pod górę, ze względu na jego wadę sercową. Szliśmy razem, ja zawsze po jego prawej stronie bo niedosłyszał na lewe ucho.

Temat rozmowy obracał się przeważnie około ostatnio przeczytanych książek. Ja wyciągałem jakieś swoje rewelacje, on znów mówił o swych ostatnich wrażeniach. Wbrew swemu wiekowi, nie był tolerancyjny, był bardzo nieprzejednany w swoich sądach o książkach zarówno jak i o ludziach, mówił z pasją, nie żałował inwektyw, zawsze jednak spostrzegał się, opanowywał, był zażenowany i znowu poprawny.

Zasadniczo byliśmy dla siebie obojętni, służyliśmy sobie tylko jak kamienie probiercze, ja górowałem spokojem i świeżością jakie daje młody wiek, on miał w sobie wyższość i siłę człowieka który jest stary, wszystko stracił, nic nie ma do zyskania, jest wyzwolony z jakiegokolwiek magii.

Ale nie, nie był zupełnie wyzwolony. Z plotek jakie mówił mi o nim jego siostrzeniec wiedziałem, że miał jedną namiętność która go niebywale frapowała — mianowicie grę. Zresztą sam mi o tym nieraz mówił. Był emerytowanym radcą miejskim, miał zdaje się pokaźną pensję i żył ze swoją żoną, cichą i krótkowzroczną kobietą przy ulicy Bonifratrów, żyli bardzo oszczędnie ażeby on mógł odłożyć na grę. Kiedyś jeździł na Rivierę, teraz zostało mu Kasyno w Sopotach.

Podobno napięta w nim żądza gry dojrzewała pewnego dnia do tego stopnia, że rano zrywał się z łóżka, telefonował do LOTu o bilet samolotowy do Gdańska, w pośpiechu pakował walizkę i tego samego dnia wieczorem lądował we Wrzeszczu i tego wieczora siedział przed stołem kasynowym.

Zwierzał mi się, że miał bardzo absolutne i racjonalne pojęcie o grze. Nie frapowały go żadne systemy, ani też nie przejmował się passą, wszystko sprowadzało się do przypadku rządzącego wszelkimi wariacjami i kombinacjami możliwości. Szczęście sprzyjało mu więcej lub mniej i to określało jak zasadniczo długo miał trwać jego pobyt nad morzem. Pieniądze zaoszczędzone na tę eskapadę stawiały go wobec możliwości w czasie, z góry był przygotowany na przegraną i z tym pogodzony. Jeżeli nie widziałem go przez długie tygodnie to znaczyło, że odgradzony w czasie, jak za ścianą izolacyjną, trwa przy zielonym stole.

Długie palce u rąk miał zakończone wyszlifowanymi, żółtymi starczo paznokciami, monstrualnie długimi, które hodował i pielęgnował dla zgarniania sztonów w kasynie gry.

Mając lat siedemdziesiąt parę uczył się angielskiego. Nie miał jakiegokolwiek pretensji do użytkowania tego praktycznie, ani też nie marzył żeby jego stronę fonetyczną poznać i udźwignąć poprawnie, chodziło mu tylko o możliwość czytania przed śmiercią, której przy swoich latach i wadzie serca spodziewał się każdego momentu, chodziło mu o możliwość czytania Szekspira. Tłumaczenia polskie znał doskonale, czytane wielokroć i teraz opanowała go nieprzemierzona chęć poznania go w jego własnym języku.

Mówił mi nieraz o tym, że myśli o czekającej go śmierci. Był człowiekiem, który mógł o tym mówić z największą pewnością. Niczyje plany i przewidywania nie miały nigdy rychlejszego widoku ziszczenia się jak jego, kiedy o tym mówił. To był niesamowity interlokutor.

— Widzi pan, rodzimy się i przychodzimy na świat w całej nieświadomości tego, początek życia jest w mrokach. Przybierając na wadze, reagując na światło i pokarm, stopniowo właściwie rodzimy się i nasze wejście we wszechświat nie dzieje się nagle. To samo można by powiedzieć o zejściu stąd. W najważniejszej ilości wypadków dzieje się to również poza naszą świadomością, w gorączce długiej choroby, w wycieńczeniu, osłabieniu ośrodków mózgowych, człowiek umierający na przykład na zapalenie opon mózgowych umarł właściwie swą tak zwaną duszą, może na wiele tygodni przed śmiercią fizyczną, z chwilą kiedy stracił zdolność myślenia i przytomność. Samobójstwo nie daje samobójcy tej świadomości przejścia w inny świat, jest to zjawisko patologiczne. Człowiek ginący na wojnie, weźmy od kuli albo wypadku, także tego nie ma. Jest to zbyt nagłe albo dominanta fizycznej śmierci zabija w nim wszelkie odczuwania. Starość na którą przeważnie się umiera jest już zupełną atonią zdolności myślowych.

Zamyślił się.

— Jedyne może — zaczął znowu — jedynie może skazańcy ginący wbrew własnej woli mają pełną świadomość tego stanu przejścia do nicości. Widzi pan ja jestem „old fashioned man” te sprawy przemyślałem i ta nieunikniona śmierć która jest niedaleko mnie, nicość, pan wybaczy, może to pana razi, ale nie mam żadnego umówionego podkładu religijnego ani spekulacyjnego i nie mam żadnej podpory w nikim ani w sobie, to mnie przeraża... Jest to coś trudnego do zniesienia...

— Kim ja jestem? To co tu mówię, choćby to były historie jak najbardziej oderwane, są mną samym tylko, częstką mnie i nie będzie żadnym egocentryzmem jeżeli spróbuję mówić sam o sobie i jeżeli za pomocą tak niezdarnego instrumentu jak mowa zechcę przetłumaczyć równie niedołążne usiłowanie przedstawienia siebie, jakie mi daje moja myśl.

— Jestem przede wszystkim dosyć do siebie przyzwyczajony ażeby mieć już jakiś błędny schemat o samym sobie wyrobiony, to raz, a przy tym moja sytuacja w samointrospekcji — co za dziwaczne słowo-potwór — uczę się angielskiego — Anglicy mówią na to selfconsciousness czy coś w tym rodzaju, więc jest to tak, jakbym chciał wyrobić o sobie zdanie, jak wyglądam fizycznie, nie mając lustra. Co to jest to ja? Dlaczego staram się, jestem jeszcze — nie do uwierzenia w moim wieku! — jestem jeszcze w pretensjach i chodzi mi nawet o moją powierzchowność — nawet być ubranym dobrze. Przy tym mam w sobie tyle kompleksu, tego niemożliwego znów niemieckiego minderwertigkeitskompleksu, że jestem w poczuciu swej długiej osoby, wpływ zaburzeń tarczycy, zgarbienia, włóczęgo chodu, starczej niemrawości, swojej spóźnionej reakcji, nie mówiąc o całym szeregu przywar natury duchowej.

— To jest samokrytycyzm który pozwala mi jednak być na ogół dość zadowolonym ze siebie, zresztą jest to dosyć naturalne i wspólne zdaje się wszystkim...

— Ale trapią mnie inne sprawy. Moja osobowość jest jedynym wyjątkiem, chociaż mi tak bliska jest wyjątkiem, jak gdyby czymś nienaturalnym, czymś w swej jedyności teratologicznym, anormalnym, nie ma nic do mnie podobnego na jotę. Ta rola jakiegoś świadka dziejących się rzeczy, kontemplatora od siedmiu boleści, który od czasu do czasu sam jest tragicznie zamieszany w dzianie się spraw. Jestem tu, widzę rzeczy w zasięgu moich oczu i tych jestem bezwzględnie pewny, mniej jestem pewny tego, co widziałem dawno, na przykład tego co widziałem w dzieciństwie...

— Na przykład w moim dzieciństwie w Przemysłu stał austriacki pułk piechoty Mazuchelli...

— Albo — pamiętam raz z dzieciństwa, byłem wtedy bardzo mały, myślę że nie miałem więcej jak pięć lat, byliśmy na jakimś spacerze, na szczycie jakiejś góry porostej lasem, musieli być przy tym rodzice bo nic nie zakłóca w mojej pamięci poczucia bezpieczeństwa, otóż szliśmy łąką międzylesną, były wysokie trawy nie tratowane przez ludzi ani zwierzęta, bardzo dziewicze i nagle ktoś, nie pamiętam kto, może to był mój ojciec, ten ktoś pokazał nam w miejscu gdzie wprost z ziemi wyrastały trzy pnie, zdaje mi się grabów, ukryte gniazdko ptasie, w którym było kilka jajeczek pstro i egzotycznie nakrapianych.

— Pamiętam ten moment ogromnie wyraźnie, chociaż to co było przedtem i to co się działo potem tonie we mgle zupełnego zapomnienia, tak jakbym przedtem ani potem w ogóle nie istniał.

— Wezmę inny przykład. Lata szkolne. Było ich dużo, szalenie ciążyły na mej osobowości, szkoła tych czasów nie należała do najbardziej udanych instytucji, okresy międzywakacyjne wydawały się geologicznymi w swej dłużyźnie a jednak teraz skurczyło się to we mnie do bardzo niewielkiej ilości wspomnień, nieważnych i przemiętych, tak, jakbym to nie ja był tam wtedy, tylko ktoś daleki i obcy o tym mi opowiadał. Więc nawet nie jestem sobą samym tak jakbym chciał, nie tylko w przestrzeni, gdzie wychodzę przez marzenia i kontakty z ludźmi i ich dziełami poza siebie, ale nie jestem samym sobą w czasie...

Potem nie mówiliśmy już a niedługo starszy pan pożegnał mnie i na odchodnym ścisnął moją ręką i przeproszał mnie.

W tygodnie później przypadkowo spotkałem jego beztroskiego siostrzeńca. Z daleka błyskał szklami w rogowej oprawie i wołał:

— Ależ to farsa! Wie pan „Zając” się powiesił! Miał trudności pieniężne, jego żona w tajemnicy przed nim narobiła długów, trudno jej było dom utrzymać, wydało się to, a stary miał właśnie atak ostry pożądania narkozy, tej gry. No i powiesił się!

To było pod drugą jesień.

PSYCHOZA „WIELKIEJ EMIGRACJI”

I.

Kochamy, jako naród i jako jednostki, może nawet bardziej od innych, swoją raczej skomponowaną historię niż rzeczywiste polskie dzieje. Kochamy przy tym oczywiście najbardziej, a uwzględniamy najsilniej w swym rozumowaniu politycznym to, co w tej polskiej historii jest zwykłą fikcją, o źródła nieopartym wymysłem i przesadą, uwypukloną często odwrotną od rzeczywistości i prawdy oceną ludzi i wypadków.

Wszystkim zaś tym wprost nałogowym „rozhoworom” historyczno-politycznym Polaków towarzyszy stale płytki, powierzchowny, a w gruncie rzeczy zupełnie fałszywy slogan, że „historia powtarza się”. Nie chcę na tym miejscu z kolei powtarzać samego siebie i wszystkich mych już publikowanych teoretycznych wywodów, że historia nigdy nie powtarza się, ani nie może powtarzać się. Historia nie może powtarzać się dlatego, że byłoby to po prostu sprzeczne z logiką. Aby jakieś rozwiązanie historyczne „powtórzyło się”, to jest by ta sama sytuacja została w ten sposób w dziejach rozwiązana, musiałaby powtórzyć się ta sama sytuacja polityczna, w tym samym układzie czasu, okoliczności, czy warunków i wówczas być rozegraną przez tych samych ludzi. Czynnikiem bowiem decydującym w dziejach byli, są i będą ludzie i oni rozgrywają źle lub dobrze dane sytuacje. „Powtórzenie się” układu sytuacji, warunków, czasu i ludzi jest logiczną niemożliwością, po prostu wobec faktu istnienia elementu czasu i płynności dziejów. Tym samym zaś dajmy wreszcie spokój ulubionemu sloganowi o „powtarzaniu się historii”, — bo to jest po prostu logiczny nonsens.

Ta sama jednak historia, która nie zna *identyczności* sytuacji, warunków i rozgrywających się ludzi, wykazuje często *podobieństwo* sytuacji, co znowu jest tak samo logiczną koniecznością, jak „powtarzanie się historii” logicznym nonsensem. O ile bowiem dzieje są płynne w czasie, to geopolityczne układy państw i narodów siłą rzeczy, czyli geografii i etnografii, wykazują pewną trwałość, a nieraz stałość. Charakter wyspiarski W. Brytanii jest np. stałym elementem geopolitycznym w układzie europejskim i dlatego sytuacje inwazyjne będą występować równie dobrze około 1803 r. jak 1940, chociaż dla odmiany nie grały swej roli dziejowej w roku 1915 czy 1916. W rezultacie sytuacje i warunki będą podobne w różnych epokach, niezależnie nawet od podobieństw Pitta do Churchilla, co znowu jest wynikiem innego elementu stałego a mianowicie charakteru i wyrobienia masy angielskiej.

Wywody takie na temat zachodzących podobieństw sytuacyjnych w historii przy równoczesnej logicznej niemożliwości powtarzania się dziejów, można by snuć tomami rozpraw, ale tymczasem dla nas, tu na emigracji, ważną jest chwila i sytuacja obecna, zwłaszcza gdy sytuacja ta jest bezkrytycznie zaciemniana w polskich mózgach sloganem o „powtarzaniu się historii” wraz z nieodstępnym „ludzeniem Polski błyskotką” — by użyć wiekopomnych słów Słowackiego — powtórzenia się dziejów i roli t.zw. „Wielkiej Emigracji” po roku 1831.

Przed rozprawieniem się z samą tą błyskotką „wielkiej emigracji” niezbędną jest dygresja o terrorze moralnym frazesu. Szeroki bowiem pokłask u polskich słuchaczy i czytelników znajduje tylko tani, napuszony frazes optymistyczny, poparty zapowiedzią „powtórzenia się” „świetlanych lat” naszych dziejów. Terror takiego taniego pseudo-patriotycznego frazesu jest zresztą ciągłym, największym grzechem naszych dziejów, panoszącym się na każdym kroku i w każdym czasie, mniej więcej — mym zdaniem — od rozprzestrzenienia się fatalnego wręcz a decydującego

wplywu na całą umysłowość polską po dziś dzień Jana Długosza z XV wieku. Przez dwa wieki ten wpływ taniego bogo-ojczyźnianego frazesu był jeszcze częściowo hamowany, bądź to najpierw przez rozumnych Jagiellonów, a potem przez pewne wybitne umysły, — nieraz nawet arcykatolickie jak np. Żółkiewski czy Jerzy Osoliński, by potem zapanować w umysłach polskich niepodzielnie, aż do czasów kontrakcji Konarskiego, Staszycy czy Kołłątaja. Niemniej ten bogo-ojczyźniany frazes przetrwał jako czynnik decydujący w polskiej umysłowości, będąc nawet w czasie rozbiorów obok twórczej pracy krakowskich konserwatystów, czy królewickich realistów, elementem dodatnim, twórczym i motorycznym, bo działającym w kierunku rozsadzania państw zaborczych. Tragedią niestety, tragedią, którą przyszła historia dopiero w pełni odsoni, stało się, że ten pseudo-patriotyczny frazes i gest zaczął święcić swe orgie rozkładcze w odniesieniu do własnego polskiego państwa, w wychowaniu, publicystyce i umysłowości Polski, odrodzonej w XX wieku, nieraz nawet wywołując wprost realne akcje polityczne.

Nic dziwnego, że na tle tego wychowania obecnego społeczeństwa polskiego w płytkim pseudo-patriotycznym frazesie, ogłupialiśmy i ogłupiamy siebie fikcjami nadziei i przesady, nawet w związku z bieżącymi, pozytywnymi zagadnieniami, a to zarówno w niedawnej przedwojennej Polsce, jak w chwili obecnej na naszej emigracji londyńskiej. Przytoczmy tylko dwa frapujące przykłady: Gdyśmy już szli ku temu i przygotowaliśmy się już na wojnę niemiecką z końcem 1938 r. i w ciągu 1939 r. to wówczas na placu Marszałka Piłsudskiego w Warszawie odbywała się co kilka dni ta sama patriotyczna komedia, zwana w polityce i publicystyce zbrojeniem się narodu polskiego przez dobrowolną ofiarność polskiego społeczeństwa. Jakiś pan X, czy Y, nieraz dla uzyskania odłożenia zasłużonej egzekucji podatkowej, ofiarowywał dobrowolnie narodowi dwa karabiny maszynowe, a Pan Zet, dodawał do tego 4 końskie ogony. Ksiądz Biskup Polowy w asystencji kompanii honorowej święcił na głównym placu Polski tę broń, by kłeska wroga stała się niewątpliwa, a pan Marszałek Śmigły-Rydz, lub co najmniej wysoki generał w jego zastępstwie przyjmował uroczyście te dary „składane na ołtarzu Ojczyzny”. Komedia ta, ludzenia narodu i społeczeństwa błyskotkami, powtarzała się co kilka dni, a w szerokiej opinii w przededniu katastrofy rosła dusza, że zbrojenia polskie postępują w tak zawrotnym tempie dzięki patriotyzmowi i ofiarności polskich obywateli!

Przypatrywałem się często temu, wściekając się na ten napuszony bluf w stosunku do świadomości rozsądnego człowieka, który musiał zdawać sobie sprawę, że przecież chodzi naprawdę o miliardy złotych i o dziesiątki tysięcy karabinów maszynowych. Rozsądny zaś człowiek rozumiał przy tym, że wobec naszego ubóstwa narodowego przy jednym głupstwie politycznym mniej, oraz jednym rozsądnym człowiekiem, posłanym do Londynu więcej, mogliśmy osiągnąć w przeciagu godziny — by zacytować przykład środków i pieniędzy danych Turcji — więcej niż przez wieki takich komedij pseudo-patriotycznych na Placu Marszałka. Tragedią zaś wprost było, gdy ktoś przy tym wiedział, że równocześnie posyłaliśmy Niemcom na dziesiątki milionów złotych żyto za darmo, (bo na nigdy niezapłacony kredyt!), a poza tym jeszcze w miesiącu sierpniu ekspediowaliśmy pociągami przez Gdańsk do Anglii, w skrzyniach, nasze własne, zresztą bardzo dobre armaty przeciwlotnicze. Ekspediowaliśmy tę broń ze względu walutowych właśnie do tej Anglii, z której bez trudu przy innych ludziach, przy innej taktyce, przy innych hasłach, można było dostać nie tysiące lecz dziesięć milionów funtów i to zaraz, czy w porę, bo Anglia więcej przegrywa w ciągu jednego dnia na Derby niż wynosiły wówczas nasze potrzeby zbrojeniowe.

Przytoczyłem ten wypadek nie dlatego, bym tę dobrowolną akcję ofiarności na rzecz zbrojenia się państwa przed wojną uważał za jakąś

rzecz zbyteczną, czy nie wskazaną. Było to pięknym gestem, ale oczywiście tylko gestem w stosunku do realnej sytuacji. Dziś dla odmiany stoimy wobec analogicznej, tragicznej sytuacji, w odniesieniu do masy idącej w milion uchodźców — jeńców czy wysiedlonych obywateli polskich, pozostających na okupacji anglo-amerykańskiej w Niemczech. Wobec tego robimy zbiórkę odzieży i samo-opodatkowanie się urzędników, czyli mówiąc szczerze zasłaniamy tą piękną i dodatnią błyskotką w umysłach społeczeństwa emigracyjnego cały ogrom problemu. Zamiast uczciwie sobie powiedzieć, że to, co sami możemy zrobić, nie stoi nawet w stosunku 1 : 100 rzeczywistej potrzeby, ogłupiamy siebie samych pseudo-poświęceniem własnej akcji pomocowej, która oczywiście tak jak te karabiny z Placu Marszałka Piłsudskiego w Warszawie, będzie piękna, cenna, ale tylko kroplą w morzu. Ponownie zaś tragedią rozsądnego człowieka staje się uzasadniona świadomość, że jedną dobrą akcją polityczną, jednym energicznym i udanym zabiegiem w formie uzyskania powszechnej pomocy i zniesienia całego szeregu naszych uchodźców i jeńców krzywdzących zarządzeń, można na jednej konferencji, w przeciągu godziny, osiągnąć i zrobić więcej, niż wszystkimi składkami naszej emigracji przez sto lat. Oczywiście, tego rodzaju akcja nie mogłaby się pokrywać z napuszonym, płytkim frazesem „sami o sobie, przez siebie, dla siebie itd”, ale musiałoby być racjonalnym i do rzeczywistości dostosowanym działaniem politycznym, czyli działaniem, do którego właśnie najtrudniej jest przekonać i pozyskać Polaków, wyrosłych w rozkładczych oparach nacjonalistycznego wychowania XX wieku.

Powracając po tych ilustracyjnych przykładach do jądra zagadnienia, musimy stwierdzić — dzisiaj już bezspornie — że tragedia roku 1939, zaskoczyła Polaków w większym jeszcze nieprzygotowaniu psychicznym niż wojskowym. Cała masa narodu polskiego nie była, a dotychczas w swej przewadze jeszcze nie jest uzdolniona do ujmowania toczących się, a przerażających zjawisk dziejowych w ich rzeczywistym wyrazie i układzie możliwości. Błąka się więc na ogół ta myśl narodu polskiego nadal wśród tanich frazesów i tanich porównań z zakresu „powtarzania się historii”. Tani zaś ten frazes prowadził i prowadzi nadal do większego zła, bo do baniek mydlanych dalekosiężnych nadziei, „opartych o naszą 1000-letnią przyszłość”, baniek, które rzeczywistość rozbija w puch raz za razem, rok za rokiem.

W pierwszych dniach września roku 1939, ogłupialiśmy siebie nawzajem jako Polacy zapowiedzią „nowego Grunwaldu”. Zarówno wykształcony naukowo „inteligent”, jak chłop czy robociznik, powtarzał z tym samym zapałem i wiarą, że „zrobimy im nowy Grunwald!” Gdy tanki i samoloty niemieckie rozbiły mydlaną bańkę Grunwaldu, pocieszaliśmy w roku 1939 i 1940, zarówno w kraju jak we Francji, zapowiedzią „powtórzenia się” roku 1918-1920. W „rozhovorach” rodaków zarówno w Kraju jak na emigracji, dominowała nadzieja, ba, nawet pewność, że „historia przecież musi się powtórzyć!” Francja z Anglią pobiją oczywiście Niemcy, a my, z naszymi kilkoma dywizjami wkroczymy wraz z Francuzami do Warszawy. Potem zaś odebranie Kresów Wschodnich przez rozbudowaną w Kraju Polską Armię będzie oczywiście łatwiejsze niż w latach 1918-20. „Il faut cesser le combat” Pétain’a z 17 czerwca 1940 r. rozbiło tę drugą bańkę mydlaną z zakresu powtarzania się historii. Nastąpiły czasy długiej, ciężkiej, naprawdę bohaterskiej walki w kraju i za granicą, doprowadzając nas w chwili zwycięstwa Aliantów do politycznej sytuacji kłęskiej — niewątpliwie przejściowej — polskiej państwowości. Na tym zaś tle tej nowej kłęskowej sytuacji zjawiała się na poczekaniu nowa bańka mydlana na użytek wewnętrzny, a dla zaciemnienia trzeźwego rzutu oka na własną sytuację. Jest to bańka mydlana zapowiedzi, pocieszania się, czy raczej okłamywania siebie samych, już nie tyle na użytek umęczonego Kraju, ile dla uspokojenia sumień szczęśliwych emigrantów, a mianowicie, że wobec

takiej sytuacji będziemy spełniać w przyszłości rolę „wielkiej emigracji” po powstaniu listopadowym.

Tę ostatnią, najświeższą bańkę mydlaną na wewnętrzny benefis polskiego społeczeństwa emigracyjnego trzeba jak najprędzej rozbić w puch polskimi rękami i polskim piórem, zanim bieg wypadków rozbije ją z kolei w puch i nicość, tak jak te wszystkie bańki poprzednie. Wiem dobrze, że to będzie boleć mego czytelnika skoro to najbardziej boli piszącego te słowa i zdających sobie sprawę z rzeczywistości. Boli zaś i boleć będzie obecną emigrację naszą, zwłaszcza dlatego, że ci wszyscy, „ocaleni na szczęście dla przyszłości i kultury narodowej Polski” (!) emigracyjni inteligenci świetnie czują się na tej emigracji w Anglii, a jeszcze lepiej w Stanach Zjednoczonych. Emigrancka inteligencja obecnej chwili niemal już jest gotowa by rozdzielać między siebie „za życia” posady dziejowe nie tylko Mickiewiczów, Słowackich, ale także Lelewelów, Mochnackich itd. Brak nam tylko narazie hrabskiego Krasieńskiego, ale sądzę, że i taki z czasem podrośnie. Tą zaś złudą powtórzenia się naszej wielkości literackiej wieku XIX przysyłamy sobie to co jest realne, naprawdę wielkie w tym narodzie polskim i co naprawdę zdało egzamin w tej wojnie i zda go w przyszłości wbrew wszelkim pesymizmom własnym czy obliczeniom obcych.

Tą zaś siłą realną, tą rzeczywistością dziejową, która sprawi, że przerwamy, to nie jest jakaś błyskotka emigranckich inteligentów, chcących odgrywać nieudolnie rolę polskich twórców literackich XIX wieku, ale geopolityczny fakt odporności i wytrzymałości polskiej masy narodowej w Kraju. Odporność ta i wytrzymałość, nie będzie oczywiście „powtarzać się w historii” w tych samych formach, faktach i przejawach jak w wieku XIX, ale jest takim samym faktem geopolitycznym, jak wyspiarstwo Anglii i zda w różnych czy innych formach tak samo swój egzamin w wieku XX, jak zdała w wieku XIX. Niespożyta ta bowiem odporność masy polskiej jest takim samym elementem trwałym, jak wyjątkowe walory żołnierskie tej masy. Jeśli Monte Cassino czy lotnicy polscy znajdują się obok szwoleżerów Kozietulskiego spod Samosierry, czy piechoty Chłopickiego spod Saragossy to nie dlatego, że „historia powtarza się”, tylko dlatego, że walory żołnierskie Polaków są immanentnym składnikiem psychicznym polskiej masy.

Stała więc wartość, na której możemy budować rozsądne i uzasadnione nadzieje na przyszłość tkwi i tkwić będzie w polskiej masie narodowej w kraju i w tym co z treści narodowej tam uratować potrafimy. O tej brutalnej prawdzie, brutalnej właśnie na tle obecnej sytuacji politycznej, nie wolno nam ani na chwilę zapominać, a zwłaszcza przysłaniać dla oczu duszy polskiej bańką mydlaną o powtórzeniu się dziejów i roli wielkiej emigracji po roku 1831. To z treści narodowej polskiej, co do kraju nie wróci chociażby dlatego, że wrócić nie będzie mogło, będzie dla Polski jako takiej, w tej czy innej formie, prędzej czy później, *stracone*. Jeśli dla Polski te masy z najlepszej treści narodowej, idące niemal w miliony nie wrócą, to będzie to tylko *nową katastrofą*, nową klęską, równą klęsce skutków niemieckiej okupacji w czasie tej wojny. Tego tragicznego skonstatowania nie wolno przysłaniać bańkami mydlanymi wielkiej emigracji i nadziejami, że ta „ocalona dla dobra Polski — inteligencja” emigracyjna, kierować będzie nie tylko myślą, ale nawet polityką polską najbliższych dziesiętek lat.

Jest naprawdę tragicznym podobieństwem, a nie powtórzeniem się historii, że ta nasza inteligencja w rozmaitych swoich formach i o tak różnym składzie pochodzeniowym, do tego stopnia odziedziczyła *grosso modo* cechy, wady i aspiracje polskiej szlachty!

II.

Postawieni przed tą nową bańką mydlaną, musimy przede wszystkim sobie samym postawić pytanie, czy w ogóle w politycznym i dziejowym

interesie Polski leży, by powtórzyć w historii naszej dzieje i rolę „wielkiej emigracji” po roku 1831.

Dzieli mnie od prof. Grabskiego dziesiątki lat różnic politycznych, sporów i polemik, a to w przeciwstawieniu do dzisiejszych jego krytyków, którzy starają się go zgniebić nie udawadnianiem, że to co teraz głosi jest fałszem, lecz, że rozchodzi się z tym, co głosił nieraz poprzednio. Stwierdzam jednak otwarcie, — bez wchodzenia w stronę polityczną jego wywodów — że parę gorzkich słów prawdy wypowiedzianych przez prof. St. Grabskiego w „Nil Desperandum” (str. 3) pod adresem wielkiej emigracji przeczytałem z głębokim uznaniem dla słuszności i odwagi sądu. Politycznie „wielka emigracja” popełniała błąd za błędem. Nie umiała wyzyskać żadnych nadarzających się sytuacji, a całość swej roli politycznej mniej więcej od 1831 do 1864 zamknęła błędem jednolitego od prawa do lewa, od „czerwonych” do „białych”, nacisku w duchu odrzucenia w r. 1863 propozycji pozytywnej dla interesów Polski, ale nazywającej się fatalnie dla ucha polskiego, t.j. „amnestii” zaofiarowanej przez Rosję w okresie względnego rozkwitu powstania styczniowego. Nie sposób w ramach artykułu przeprowadzić rozbiór krok za krokiem tych naszych błędów ówczesnych zarówno z zakresu polityki zewnętrznej jak wewnętrznej, a popełnianych przez „wielką emigrację” zarówno ze strony prawej czyli „białej”, jak lewej czyli „czerwonej” w ciągu tych lat przeszło 30. „Czerwoni” nie umieli wyzyskać nadarzających się okazji z powodu braków organizacji i bujania w obłokach fikcji i braku realizmu zwłaszcza w roku 1848, a „biali” wielkich możliwości roku 1855. Nawet wówczas gdy nastąpiła wręcz idealna konstelacja polityczna jaką była wojna krymska, Anglii i Francji z Rosją Mikołaja I, emigracja polska nie potrafiła niczego dokonać, ani osiągnąć jakichkolwiek rezultatów. Smutno po prostu na duszy, gdy historyk musi sobie przypomnieć, że poza rozlicznymi rozjazdami agentów politycznych, z scenariuszem śmierci Mickiewicza w Konstancynopolu, skończył się ten punkt zwrotny w dziejach emigracji na psychicznym załamaniu się Sadyka Czaykowskiego, który z ideowego kondotiera polskiego w służbie angielskiej i tureckiej przerzucił się krańcowo na ideowca russo i słowiano-filstwa.

Bilans polityczny całości wielkiej emigracji jest niewątpliwie ujemny poza jednym faktem dodatnim, ale właśnie na wykonanie tej strony dodatniej obecny skład naszej emigracji, przynajmniej w swych czołowych czy najintensywniej działających jednostkach, w ogóle nie nadaje się. Polistopadowi emigranci zarówno w swoim „czerwonym”, jak nawet „białym” wydaniu, byli dla ówczesnych społeczeństw zachodniej i środkowej Europy, a nawet krajów amerykańskich, uosobieniem, symbolem postępu i walki z reakcją. Polak emigracyjny XIX wieku, znany całemu światu jako „wieczny rewolucjonista”, był personifikacją wszelkiego postępu, wszelkiego rodzaju walki „o wolność naszą i waszą”, był elementem podziwianym i cenionym nie tyle z powodu swej walki o niepodległość Polski, ile dla swej nieprzejednanej walki na wszystkich polach bitew i barykad z reakcją monarchizmu i absolutyzmu. Im to właśnie, tym „wiecznym rewolucjonistom”, którzy często „a nieraz nawet przeważnie byli w głębi duszy społecznymi reakcjoniastami, zwłaszcza w sprawach chłopskich, zawdzięczamy całą tę powszechną sympatię świata w drugiej połowie XIX i początkach XX wieku, która się stała takim czynnikiem twórczym i cennym dla naszych dążeń do niepodległości z wybuchem wielkiej wojny 1914-1918.

Niewątpliwie z momentem rozpanoszenia się w duszach polskich zaborczonego nacjonalizmu, zaszczerpionego w polskiej umysłowości dopiero pod sam koniec XIX wieku, a rozbudowanego w pierwszych dziesiątkach XX wieku, straciliśmy w oczach opinii świata niemal wszystko z tego nimbu lewicowości i postępowości, którą zawdzięczaliśmy nie tyle ideom i myślom naszych emigrantów z XIX wieku, ile ich działalności rewolucyjnej jako

takiej. Weszliśmy w okres konferencji paryskiej już z przeklętym obciążeniem w opinii światowej zarzutami nacjonalizmu, szowinizmu i dążeń eksterminacyjnych wobec niePolaków, niemniej jednak, zwłaszcza w Ameryce oddziaływała ciągle jeszcze na naszą korzyść tradycja polskiej emigracji z XIX wieku.

Dziś natomiast, powiedzmy to sobie szczerze i otwarcie z całą brutalnością prawdy, nie wchodzimy i nie wejździemy jako emigranci dobrowolni lub przymusowi w tę opinię świata z nimbem reprezentantów ludzkiego postępu. Nie sposób na tym miejscu w ramach artykułu rozstrzygać wiele w tym jest naszej winy własnej, a wiele rezultatów wrogiej nam propagandy, idącej nieraz ze środowisk sobie różnych i rozbieżnych. Jest to jednak pewien fakt istniejący w obecnej opinii świata, mimo naszej rzeczywistej demokratyczności wśród ogromnego procentu naszych obecnych emigrantów, tak samo realnie, jak faktem realnym i istniejącym w opinii świata XIX wieku była wiara w postępowość społeczną Polaków mimo otchłani reakcyjności społecznej u całego szeregu ludzi, składających się na naszą wielką emigrację XIX wieku.

Zamykając więc bilans za przeszłość musimy stwierdzić, że politycznie na ogół emigracja polska XIX wieku egzaminu swego nie zdała, zwłaszcza wobec faktu, że te twórcze i celowe ruchy, które przyniosły rezultaty w 1918 r. zrodziły się i rozwinęły w kraju i to wtenczas, gdy „wielka emigracja” już umarła na uwiad starczy i asymilację francuską. Jeśli zaś w tym bilansie emigracji polskiej XIX w. znajdujemy pozycje bezspornie dodatnie w rodzaju wyrobienia w świecie opinii o polskiej postępowości i duchu liberalizmu, to dla odmiany właśnie obecna emigracja, czy też raczej na ogół liczbowo w niej przeważające tendencje nie mają warunków ku temu, by po raz drugi spełnić chociażby tę misję polską w świecie, którą jednak wykonała emigracja polska XIX wieku.

III.

Ostatni i decydujący moment rozprawy z tą bańką mydlaną o „powtórzeniu się dziejów i roli wielkiej emigracji” stanowić musi stwierdzenie, że to co się stało po roku 1831 nie ma nic wspólnego ani statystycznie, ani życiowo z tym co tragiczność dziejów Polski wytworzyła z początkiem i w ciągu wojny lat 1939-1945. Emigracja polistopadowa objęła nie więcej niż 30 do 40.000 ludzi i to z jednego zaboru. Zabór ten t.j. królestwo i kresy zostały na ogół nawet przez tak drobny egzodus pozbawione inteligencji politycznej i literackiej i mimo fenomenalnej podbudowy dokonanej przez ludzi typu Adama Czartoryskiego, Czackiego czy Lubbeckiego, zabór rosyjski po powstaniu listopadowym ulega na dłuższy czas procesowi depresji politycznej i intelektualnej. Depresja ta uwidacznia się zwłaszcza w porównaniu z tak zwaną Galicją i Poznańskiem, które będąc do roku 1831 w życiu polskim pozycjami nieporównanie niższymi i bardziej zaniedbanymi pod każdym względem niż t.zw. Królestwo i Kresy, wykazują w okresie francuskiej „wielkiej emigracji” wysoką prężność polityczną i intelektualną, ujawnioną chociaż w latach 1848 przy porównaniu z ogołoconą przez emigrację Kongresówką. Tego rodzaju objawy ogałacania z inteligencji i ogólnej depresji poszczególnych dzielnic, występują w naszych dziejach XIX wieku nawet przy tak drobnej pod względem liczbowym emigracji jak ta po roku 1831, która ostatecznie w olbrzymim procencie była także emigracją żołnierzy a nie tylko przewodów wojskowych i intelektualnych.

Obecnie dla odmiany, mamy do czynienia z emigracją, która w sumie ludzi wysiedlonych z Kraju w ten czy inny sposób dochodzi do cyfry niemal czy przeszło 2 milionów ludzi i obejmuje swoimi fatalnymi skutkami całość ziem Polskiego Narodu. Już to samo wskazuje, że nie wolno oszukiwać siebie jakimś dopatrywaniem się analogii z rokiem 1831 skoro

nie tylko kwalitatywnie ale przede wszystkim kwantytatywnie emigracje 1831 i 1939 nie stoją do siebie w żadnym realnym stosunku proporcji. Dla odmiany natomiast — bez względu na to jak to nasze dusze emigranckie boleć będzie — musi być raz stwierdzone dla naszego wewnętrznego użytku, że niestety obecna nasza emigracja ilościowo i jakościowo ma swoją najbliższą analogię w emigracji „białej” rosyjskiej z lat 1917-20. Wówczas również znalazło się poza swoją ojczyznę około 2 milionów ludzi, z ogromnym procentem inteligencji i talentów, z wielkimi środkami, jak flota czarnomorska stojąca w Bizercie, czy wyewakuowana armia Wrangla, próbująca utrzymać swe kadry i organizację wojskową. Poza tym emigracja ta rozporządzała ogromnym prestiżem i wpływem politycznym w świecie właśnie zwycięskiej Ententy, gdyż mało kto sobie dzisiaj zdaje sprawę, czym była pozycja polityczna np. takiego Sazonowa jeszcze w czasie Konferencji Paryskiej.

Wszystko to rozplynęło się w niebycie politycznym w ciągu lat 20, wsiąkło w dziesiątki innych narodowych społeczeństw, pozostawiając na powierzchni politycznej świata grupki starców bez znaczenia i młodzież zwracając się dawnymi Rosjanami, ale solidaryzującą się duchowo z heroizmem czerwonej armii i rolą dziejową Stalina. Gdzieśniedzie, od czasu do czasu, przewijała się z tego 2-milionowego świata po bruku warszawskim szlachetna postać tak niepospolicie inteligentnego Filozofowa, lub opinia europejska obudziła się na chwilę, na jedną notatkę dziennikarską, wobec wiadomości, że tytan rewolucji rosyjskiej Sawinkow, wróciwszy dobrowolnie do Rosji Sowieckiej rzucił się samobójczo z 4 piętra, gdy strażę przeprowadzały go na śledztwo.

Wiem jak to boli i boleć musi tych, którzy to czytać będą, bo najbardziej to boli piszącego, ale to jest ta prawda i wskazanie podobieństwa historycznego (a nie „powtarzania się historii”), którego w służbie dla narodu przemilczeć nie wolno! Tak samo nie wolno przemilczać czy ukrywać przed oczyma duszy polskiej obrazu tej licznej emigracji gruzińskiej w Paryżu z legalnym prezydentem i legalnym rządem, oraz chwilowo z 19 (sic!) czasopismami czy publikacjami w języku gruzińskim, które wydawano we Francji tuż po upadku Gruzji, gdy były na to jeszcze pieniądze. Jeszcze bardziej nie wolno nam zapominać o pobratymczej a licznej emigracji z szeregów 30-milionowego narodu ukraińskiego, a to zarówno w postaci rządu i prezydenta urzędującego w Polsce do roku 1939, jak też reprezentowanej przez zamożne i na wewnątrz siebie intensywnie działające koła emigracji ukraińskiej w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Tam na tej półkuli szczęśliwości wszyscy ci emigranci ukraińscy nie odsąpili dotychczas „ani piędzi ziemi” w swoich artykułach, nie zdradzili ani na krok, ani na cal idei „samoistinnosti” i „soborności” czyli niepodległości i całości ziem ukraińskich, a to po prostu dlatego, że nikomu z tych emigrantów w ogóle na myśl nie przychodzi by Ukrainie i sprawie ukraińskiej służyć realnie na bujnych, szerokich polach ukraińskich.

IV.

Jesteśmy pobratymcami Czechów, narodu wychowanego i uformowanego w hipertrofii realizmu, tak jak niewątpliwie jesteśmy narodem wychowanym i uformowanym w hipertrofii heroizmu. Wrogiem realizmu jest polityczny romantyzm, a wrogiem heroizmu życiowy oportunizm. Między tymi słowami realizm a romantyzm, oportunizm a heroizm toczą się dzieje i walka nie tylko narodów ale każdego poszczególnego człowieka.

Zagadnienie kraj czy emigracja, służba tam pod groźbą zsyłki, czy „walka tutaj” pod względem niebezpieczeństwem braku pieniędzy, to dzisiaj już nie jest tylko problemem politycznym czy narodowym, ale zagadnieniem życiowym każdego poszczególnego Polaka. Jestem hi-

storykiem i politykiem, a nie kaznodzieją, nie nam więc zamiaru, by wzorem naszych kapelanów wojskowych udzielać bezprawnych wskazówek, jak ktoś w życiu postępować powinien i jakie naprawdę cele i obowiązki należy sobie stawiać osobiście dla rzeczywistości, a nie dla zakłamanej służby Ojczyźnie. Jest to zresztą zagadnienie tak dla każdego poszczególnego człowieka skomplikowane, tak bezlitośnie zakute w okowy przymusu emigracji przy chęci powrotu, a możliwości powrotu, przy chęci pozostania w tych wolnych i cywilizowanych warunkach krajów anglo-saskich, że naprawdę zuchwalstwem byłoby porywanie się na dawanie jakichś szczegółowych wskazań.

Pozostaje jednak pewna ogólna norma patriotyczno-polityczna, która winna obowiązywać myśli i serca tych, którzy przed tym problemem stają, a więc w tym wypadku przed całą obecną naszą emigracją. Są dwie bowiem drogi do wyznaczenia, dwie możliwości rozbieżne przed całym Narodem i przed każdym poszczególnym Polakiem dnia dzisiejszego. Jest to zagadnienie z jednej strony heroizmu własnego i heroizmu całego narodu obok zagadnienia oportunistycznego i indywidualnego z drugiej strony. Wątpię, czy ktoś z pełnym poczuciem prawa ku temu i słuszności na przyszłość będzie mógł wskazywać — zresztą wzorem naszych najwspanialszych wieszczów XIX wieku — Narodowi Polskiemu drogę nieprzejednanego heroizmu, skoro to jest naród, który stracił miliony dusz, a nie dziesiątki tysięcy jak w wieku XIX, naród, który przez 5 lat z górą cierpiał rzeczy nieprawdopodobne w dziesiątkach milionów obywateli a nie w dziesiątkach tysięcy przez rok czy trochę dłużej. Dlatego wydaje mi się jedynie słusznym i uzasadnionym by wskazywać temu narodowi, który przeszedł takie piekło i który dzisiaj przez taką próbę przechodzi, nie drogę hipertrofii heroizmu, ale słuszną, realistyczną linię dostosowania swego życia do tego tak ciężkiego układu rzeczywistości, oczywiście z pędem do wyzyskania tych wszystkich możliwości, jakie najgorszy nawet układ rzeczy będzie przecież stawiał jako dodatnie możliwości dla przyszłości Polski.

Wręcz odwrotnie jednak ujmuję to zagadnienie indywidualnie czyli dla poszczególnych ludzi, a zwłaszcza naszych emigrantów. Jeśli narodowi należy wskazywać drogę realizmu nawet za cenę nazwania tego oportunistycznym, to Polak emigracyjny jako taki to „Chrobrowe dziecię”, jak to z ulubieniem wmawiamy naszym malusińskim, powinien sobie jako jednostce, zwłaszcza w wygodnym flacie londyńskim, postawić postulat heroizmu i ofiarnej służby dla sprawy narodowej, ofiarnej z siebie osobiście, a nie z Narodu.

Ujmijmy zagadnienie obecnej naszej, tej nie tylko wielkiej, ale olbrzymiej emigracji w pewne równanie, czy jak kto zechce nazwać slogan: realizm i oportunizm jako wskazanie drogi dla umęczonej masy narodowej, a heroizm dla siebie jako jednostki. Patriotyzmem bowiem nie jest nacjonalizm, ani śluby Jasnogórskie „o Polsce dla Polaków”, ani stwierdzenie, że mi się to i owo, jako Polakowi, właśnie należy, ale wręcz odwrotnie patriotyzm to świadczenie na rzecz państwa i narodu, świadczenie, które w takich chwilach i w takich sytuacjach musi być ofiarnością nie tylko życia, o co łatwiej, ale żywota, co o wiele trudniej.



WARSZAWA W OCZACH ANGLIKA

Jesień w Londynie: niskie, ołowiane niebo, mgielka w powietrzu i złudzenie deszczu nawet gdy nie pada. Oto moje wrażenie obecne kiedy usiłuję sobie przypomnieć Warszawę która była mym domem w latach 1919 do 1939. I w rezultacie ta rodzinna atmosfera, poprzez lukę pięciu lat, przywraca mi wrażenia Warszawy — nie tej Warszawy którą zwykliśmy byli pokazywać cudzoziemcom, ale tej po której zwykłem chodzić w codziennym życiu. W ciągu długich, zimowych miesięcy przywykłem wędrować wzdłuż tych czy innych ulic w czasie kiedy zapalano pierwsze światła w oknach. Nic w tych domach nie było nadzwyczajnego, ale też nic obojętnego; większość z nich datowała się z czasu pomiędzy 1870 a 1900 — ale miały wygląd solidny i wrażenie wygody, jak gdyby pewności, że uchronią ich mieszkańców od uderzeń wiatru, deszczu i śniegu. Przyjemnie było pomyśleć sobie, że jeżeli nic pilnego nie każe mi śpieszyć do własnego domu to do wielu z tych mieszkań mogę wpaść na chwilę pogawędkę.

W dalszym ciągu mych wspomnień wyda się nie raz, że mówię za wiele o Polsce i Polakach w ogóle i nie dosyć o Warszawie i jej mieszkańcach. A jednak Warszawa jest mikrokosmosem Polski i to nie w jakimś sztucznym znaczeniu. Trzeba pojąć rasowość polską ażeby zrozumieć warszawiaków. Wtedy rozumiemy szczególnie cechy charakteru jakie w ciągu ostatnich dwu stuleci uformowały się u nich — cechy charakteru które były i będą, jestem tego pewien, jedną z najwyższych wartości polskiego narodu.

Aczkolwiek Warszawa, jaką znałem przed jej zbombardowaniem przez Niemców, była bardziej interesująca pod względem architektury aniżeli by się to wielu nieciekawym obcokrajowcom a nawet Polakom niektórym wydawało, niezbyt była uprzywilejowana przez naturę i znacznie mniej niż inne miasta polskie była troską przeszłych pokoleń. Już po paru miesiącach przestałaby być dla mnie interesującą jako zabytek muzealny: ale jak to się stało, że mogłem spędzić tam lat dwadzieścia i nigdy nie doznać przesyty, i nade wszystko, jakże się to stało, że po pięciu latach nieobecności tęsknię do niej każdym nerwem i marzę, by być tam z powrotem, gdyby nawet dwie trzecie ulic i budynków miały być kupami gruzów? Odpowiedź jest bardzo prosta. To ludzie żyjący w Warszawie mnie zniewolili. Urzekły mnie te wartości, które są cechą rasową Polaków. Wiele z tego co powiem można przypisać Polakom innych miast i części kraju, ale zawsze będzie jednak pewna różnica. Upokorzenia jakich zaznała Warszawa w ciągu XIX wieku nadały jej cechy wyłączności, jako stolicy, ponadto lud pracujący Warszawy wyrobił w sobie w ciągu twardego okresu siłę i upór które, jestem przekonany, przetrwają wszystkie próby.

Przeciętny dyplomata jest od pierwszych dni swej kariery przygotowany na dystans w jakim będzie trzymany przez obcych, których życie jest jego zainteresowaniem zawodowym. Jeżeli to się dzieje w dużych metropoliach to ten bolesny fakt może nawet ująć jego uwagi, ale inaczej się dzieje jeżeli znajdzie się w pomniejszych. Oczywiście w każdej stolicy napotka na kategorię ludzi dostatecznie światowych aby wyrobić sobie stosunki i znaleźć z nimi wspólny język. Będą to arystokraci w konwencjonalnym tego słowa znaczeniu. Nie brak ich było w Warszawie i stanowili ujmującą część jej społeczności, chociaż, jako prawdziwi Polacy, w większości przekładali pobyt na wsi aniżeli w mieście. Osobiście wydaje mi się, że w ciągu ostatniego dwudziestolecia w całej Europie jak też i w Polsce, sporo niezadowolonych opinii i zgryźliwości wypowiadało się o tej pojedynczej warstwie. W Polsce magnackie rodziny nie były liczne a przeważna część ich utraciła swe majątki jako rezultat traktatu w Rydze. Zawsze

będę z wdzięcznością i przyjaźnią wspominać mężów a w szczególności kobiety tej klasy — przeważnie starsze ode mnie — które skoro tylko odkryły we mnie zainteresowanie się ich krajem, gotowe były dyskutować ze mną jego przeszłość i widoki na przyszłość. Z zasady cechowała je otwartość w traktowaniu przedmiotu i odznaczały się trafnością sądu. Ale za moich dni ta klasa — jeżeli jakieś dwadzieścia rodzin może pretendować do tworzenia klasy — nie nadawała tonu ani też nie liczyła się w życiu Warszawy. Może trzeba pobyć w Polsce dobrych parę lat żeby uprzytomnić sobie jak Polacy jako naród są przywiązani do zasady równości. Zawsze to uznawano bez wyjątków, że wszyscy Polacy dobrze urodzeni są sobie równymi bez względu na nierówność fortun. Dlatego też w ciągu historii szlachta była bardzo podejrziwa w stosunku do magnatów przypisując im dążności do przewagi, opartej o nierówność materialną. Wielką może zasługą Warszawy w rozwoju Polski było to, że w ciągu XIX i początku XX wieku stała się miejskim terenem, na którym polskie zamiłowanie do równości przestało być zaczątkiem ale wzrosło i wykształciło się. Żyjący poeta Polski słusznie pisze w swym wierszu już w czasie tej wojny kiedy mówi o „liberalnej Warszawie”. Inne świetne miasta Polski były może bardziej wsteczne, podczas kiedy Warszawa stawiała czoło nowym zadaniom odważnie i otwarcie, nie patrząc w przeszłość.

Liberalizm polski jest w rzeczywistości innym wyrazem narodowego zamiłowania równości. Wszyscy Polacy, jakiegokolwiek byliby klasy, uważają, że ich życie tak winno być spędzane jak im się to podoba, założywszy, że nie klóci to porządku życia ich sąsiadów. W konsekwencji każdy Polak jest w pełni przeświadczenia swych praw i swej godności z jednej strony, z drugiej respektuje indywidualność swego sąsiada. To poczucie prawa i obowiązków, które narodziło się i wyraża tak w życiu polskim, świadczy o dobrym urodzeniu narodu polskiego. To dobre urodzenie nie jest przywilejem jednej klasy ale jest charakterystyczne dla całego narodu. Sądzę że poszanowanie innych indywidualności u Polaków rozwinęło się wprzód wśród klas posiadających ziemię, u których poczucie równości było tak silne, ale w ciągu stulecia równie silnie rozwinęło się w świecie Warszawy gdzie tyle innych elementów prócz szlacheckiego składało się na jej całość. Kiedy dwadzieścia pięć lat temu po raz pierwszy przybyłem do Warszawy jedną z pierwszych cech jakie zauważyłem to wysoki stopień społecznej i intelektualnej kultury jaki napotykałem wszędzie.

Słowo „inteligencja” jest nie trafne. Od razu przypomina nam złe leżące ubrania, niedbałe uczesanie, natłoczone mieszkania i prymitywne potrawy. Obawiam się że ubliżę, w oczach większości czytelników, warszawskiemu towarzystwu twierdzeniem, że składała się na nie polska inteligencja, jednak był to skład ludzi którzy w większości wypadków zarabiali na życie swym intelektem. Składali się na nią przemysłowcy i ziemianie, bankierzy i kupcy, prawnicy i lekarze, pisarze, malarze, muzycy, aktorzy — ba nawet politycy. Pochodzili ze wszystkich stron Polski: rekrutowali się ze wszystkich klas: byli tam zarówno Żydzi jak i Polacy. Jakkolwiek różnili się w zainteresowaniach byli jednak tak jednorodni w swym wyrazie i dobrym urodzeniu. Trudno może mówić o tej inteligencji jako jednej społeczności, trafniej byłoby określić ją jako szereg grup przemieszanych w terenie wspólnych zainteresowań. Nie spotykało się tych samych osób w każdym salonie i każdej kawiarni, ale jeżeli los zdarzył, że znajdowaliśmy się poza obrębem swego koła to znajdowało się tę samą gościnność i ten sam dobry ton.

Życie Warszawy zamykało się w czterech ścianach domu albo w jednym z miejsc publicznych spotkań. Najczęściej były to restauracje czy kawiarnie — bo Warszawa miała zaledwie parę klubów w prawdziwym tego słowa znaczeniu — toteż o pewnych godzinach wpadało się do kawiarni z pewnością, że spotka się zawsze kogoś z przyjaciół z którym można po-

gawędzić. Ale dom nie był zamkniętą fortecą życia rodzinnego jak to się zdarza w krajach łacińskich. Polacy witają w domu szczerze nie tylko starych przyjaciół ale i przypadkowych gości. Wydaje mi się, że przekładają przyjemność goszczenia gości w domu na wsi aniżeli w czasowych, ciasniejszych mieszkaniach w mieście, głównie dlatego, że tak umiłowali życie wiejskie. Kiedy wracam myślą do starych czasów to nieodwołalnie staje mi przed oczyma dwór na wsi, położony wśród dużego, zapuszczonego parku wśród lip zielonych.

Moje własne zamiłowania kazały mi szukać towarzystwa malarzy i pisarzy Warszawy. Nie trudno było ich poznać: odznaczeni się ludzką przystępnością. Jako że miałem już parę lat uprzedniej styczności ze światem artystycznym Monachium, którego niechlujna cyganeria i afektowana swoboda raczej hamowały moją chęć zajrzenia w „świat artystyczny”, ciekaw byłem czy spotkam w Warszawie to samo. Dzisiaj wstydę się mych podejrzeń. Rzeczywistość okazała się całkowitym przeciwieństwem tego, czego się obawiałem. Bałem się blagi; znalazłem prostotę i umiar. Spodziewałem się przesady i wyuzdania — „temperamentu artystycznego” tak drogiego Teutonom. Znalazłem ludzi zwykłych w zgodzie ze zwyczajem cywilizowanego życia.

Ten świat Warszawy, który usiłuję opisać był czarujący i miałem nie tylko satysfakcję przyjaźni bliskich ale tło tego życia pozwoliło mi na zawarciu szeregu niezmiernie interesujących znajomości. W rezultacie, aż do końca mego pobytu w Warszawie dokonywałem odkryć. Trochę byłem speszony tym na początku, że Uniwersytet i jego profesorowie tak małą rolę odgrywali w życiu miasta zwłaszcza w porównaniu z Krakowem. Na dwa lub trzy lata przed wybuchem wojny przypadek sprawił, że zetknąłem się z profesorem warszawskiego Uniwersytetu, którego działem była literatura buddyjska — mój ulubiony przedmiot. Zaznajomił mnie z Instytutem Wschodnim Uniwersytetu warszawskiego i dzięki niemu poznałem szereg jego członków. Ku memu zdziwieniu przekonałem się, że tak mało znany dział nauki tego Uniwersytetu cieszył się wysoką opinią poza granicami Polski. Nie mniejszą satysfakcją było przekonać się, że orientaliści polscy byli równie czarujący jak polscy pisarze i inteligenci.

Znowu jestem w trwodze, że skłaniam się mówić mniej o samej Warszawie na rzecz Polski i Polaków w całości. Może mniej będę zbiegał z tematu jeżeli spróbuję pisać o ludziach którzy tworzyli tło mego życia w Warszawie — o sklepikarzach i rzemieślnikach, doróżkaczach i konduktorach tramwajowych, robotnikach i przede wszystkim o ulicznikach.

Warszawa jest dziwnym połączeniem miasta i wsi. Jakkolwiek ma — w każdym razie miała przed wojną — milion i ćwierć mieszkańców, wieś zdawała poczynać się tam gdzie kończyły się szyny tramwajowe i ulice. Chłopi przyjeżdżali do miasta dwa, trzy razy w tygodniu by sprzedawać warzywa, owoce, czasami sztuki tkanych ręcznie materiałów. Rano, leżąc w łóżku zdarzało mi się słyszeć turkot wozów przeciągających koło mego domu i często przy śniadaniu znajdowałem bukiet nagietek lub piwonii jak i świeże jajka i bochenek żytniego chleba.

Klasy pracujące Warszawy rekrutowały się przeważnie z ludności wiejskiej ale pod koniec wieku XIX wykształciły swój własny charakter, różny od warstw pracujących innych miast polskich, za wyjątkiem może Łodzi. Podczas kiedy kupcy warszawscy należeli przeważnie do Narodowej Demokracji to pracownicy fizyczni prawie wszyscy należeli do Polskiej Partii Socjalistycznej. W ciągu około trzydziestu lat przed uzyskaniem niepodległości partia ta była najsilniejszym bojownikiem sprawy narodowej i nie było w Polsce bardziej zaciętego jej obrońcy niż warszawski robotnik. Czy rodzaj ich socjalizmu cieszył się uznaniem międzynarodowych powag socjalistycznych tego nie wiem ani dociekam. Ich patriotyzm był niewątpliwy i wyrażał się w nieustannej gotowości poświęcenia dla kraju. Mieli ciężkie życie i twardnieli w nim, ale nic w nich nie było

z siły brutalnej. Próżno byłoby zahukiwać ich rozkazami a należało przemawiać do rozsądku, mając na uwadze, że byli Polakami, a co za tym idzie indywidualistami.

Zdarzało mi się przechadzać po Warszawie w towarzystwie pewnej mej przyjaciółki Polki odznaczającej się z natury ciekawością. Gdziekolwiek mijaliśmy grupę robotników, przy robotach ziemnych albo budowlanych, przystawała i zagajała rozmowę na temat pracy. Pierwsza odpowiedź nie była z zasady zbyt zachęcająca, lecz gdy moja towarzyszka jak zwykle nie zrażała się i zadawała dalsze pytania, rozmowa przestawała być jednostronną. Zapraszano nas bliżej, wyjaśniano szczegóły i gdy w rezultacie udawaliśmy się w swoją drogę, obie strony były zadowolone z rozmowy. Przy tych okazjach mogłem częstować papierosami ale posunięcie się do podarunku pieniężnego mogło tylko wzbudzić podejrzenia. Robotnik warszawski potrafił targować się zapamiętałe ale nic nie skłoniłoby go do przyjęcia pieniędzy za nic.

Kiedy przybyłem do Warszawy w 1919 roku, taksówki nie były znane w Warszawie i jedynymi środkami lokomocji do wynajęcia były konne powozy. Kursowało kilka wcale eleganckich dwukonnych ale przeważnie były to dryndy zaprzężone w źle odżywionego, jednego konia. Ale dorożkarze — prawie zawsze przybysze ze wsi dla zarobku — byli zwykle po stronie swych koni i protestowali w ich imieniu jeżeli żądało się przekroczenia pewnej szybkości. Kiedy w parę lat potem wprowadzono taksówki, ich kierowcy od razu stworzyli osobną kastę miejską, nie wiele mającą do czynienia z dorożkarzami, którzy jednak prosperowali dalej w wielkiej liczbie aż do wojny. Dorożkę wołało się zawsze na wypadek przeprowadzki: w czasie tych okazji ładowało się ją wysoko wszelakiego rodzaju gratami, często z maszyną do szycia na szczycie, tak że woźnica z trudem znajdował dla siebie miejsce na koźle. Pośród mych dobrych przyjaciół w Warszawie było paru taksówkarzy, którzy mieli swój postój jakieś sto metrów od mego domu. Nie było wyczajem dawanie napiwków i naturalnie trzymałem się miejscowych zwyczajów. Pomimo tego, że nie płaciłem innej taksy, mam wrażenie że cieszyłem się popularnością u tych ludzi. Pewnego dnia jeden z nich powiedział mi co jest tego przyczyną: to, że nie faworyzowałem żadnego z nich i zawsze brałem taksówkę z początku postoju. To, myślę, jest jeszcze jedną manifestacją poczucia równości u Polaków. Sądzę, że moja popularność w dzielnicy powstała częściowo dzięki innej przyczynie. Odkryłem, że Polaków należy traktować, jakaby nie była ich pozycja, indywidualnie. W tym szczególnym przypadku jeżeli na przykład dawałem adres to robiłem to w formie jakby zapytania „nie pojechalibyśmy tam i tam?” — rezultat był zadziwiający. Kierowca wahał się przez chwilę jak gdyby brał pod uwagę wszelkie pro i contra proponowanego adresu po czym rozpromieniał się i ruszał z największą szybkością.

Ulicznicy Warszawy byli instytucją miasta. Sprzedając gazety lub trudniąc się mniej określonymi zajęciami, byli szczególnie ujmujący przez swoją bystrą inteligencję. Są podobni im w Londynie i Paryżu ale nawet ci z innych miast im nie dorównują. Cechy charakterystyczne stolicy przebiegały wszystkie klasy zarówno u dołu jak i góry drabiny społecznej. Pewna pani, Polka, moja znajoma, zorganizowała wypożyczalnię książek dla uliczników. Powstała ta biblioteka z przypadku i powoli rosła. Obdarci abonenci byli bardzo punktualni jeżeli chodzi o zwrot przeczytanych książek. Pewnego dnia kiedy tam byłem, mały chłopak, który już był członkiem biblioteki, przyprowadził nowego abonenta, znacznie od siebie większego. „Gdyby on nie odniósł książki na czas to ja wybije mu zęby” zapewnił młodociany wprowadzający i nie mam żadnych wątpliwości, że dołożyłby wszelkich swych starań aby wykonać tę obietnicę.

Wspomnienie o Polsce organizującej bibliotekę dla uliczników przywołuje mi na pamięć szkołę dla ociemniałych dzieci tuż pod Warszawą,

którą ta sama znajoma Polka wraz z mężem stworzyła i utrzymywała. Szkoła znajdowała się przy klasztorze Franciszkanek, którego przełożona była od czasów swego panieństwa niewidomą. Ale oprócz mniszek i pewna ilość prywatnych osób pomagała w pracy w tej szkole, poświęcając część swego życia i majątku na ten cel. Kiedy po raz pierwszy odwiedzałem tę szkołę, tragedia niewidomych dzieci, ich potworne kalectwo, wydawało się trudnym do zniesienia, lecz kiedy poznałem je bliżej, ze zdumieniem przekonałem się, że ten tragizm w pewnej mierze został pomniejszony. Był tam spokój — nie martwa apatia ale prawdziwy pokój który mógł być w rzeczywistości pełen radości. Nigdy od czasów Św. Franciszka i Św. Klary duch franciszkański nie zakwitł piękniej niżeli to było w Laskach pod Warszawą. Parę kroków od szkoły dla ociemniałych mieścił się dom odpoczynkowy dla robotników. Dom ten był dziełem świeckiego księdza z Warszawy, który mam nadzieję żyje jeszcze, jakkolwiek nie miałem o nim wiadomości od lat pięciu. Miał on duży wpływ wśród ludu warszawskiego, nie w tym jednak stopniu co matka przełożona klasztoru Franciszkanek. Była ona uznana za życia za świętą, przez ten lud który każdej niedzieli, począwszy od 8 rano wypełniał świątynie Warszawy. Nawet w czasie najgorszej pogody, gdy brakło miejsca, stali niektórzy u wrót kościoła. Wiem, że w jakiegokolwiek formie Warszawa zmartwychwstanie z gruzów, jej lud nigdy się na tyle nie zmieni żeby zapomnieć o swym kraju i jego wierze. Będą zawsze wspaniałymi patriotami, jakimi ich znałem i będą wypełniać kościoły w dniu świąt. I po wsze czasy w ich domach; czy to ubogich, czy dostatnich znajdzie się na ścianie wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej.

STEFAN THEMERSON

ŚLEDZTWO*

(fragment inny)

Kto jeszcze w owym okresie czasu chodził do szpitala?

Lewicki miał operację ślepej kiszki, ale to przedtem. Fuchs miał też operację, ale potem. Uśpizewski chodził regularnie do szpitala na zastrzyki i masaże tej jego prawej ręki.

Czy Uśpizewski nie władał prawą ręką?

Mógł tylko bardzo słabo poruszać palcami. Wtedy kiedy siedział jeszcze przy żydowskim stole, Lilienberżanka krajała mu na talerzu, jeśli było coś do krajania.

A lewą ręką?

Lewą rękę miał normalną.

Ile wyciągał na siłomierzu?

140.

Czy w bójce mógłby się obronić lewą ręką? Czy mógłby na przykład powalić kogoś na ziemię i schwytać go za gardło?

To zależy od siły tego kogoś.

Jakie były oczy Uśpizewskiego?

*) Porównaj: ŚLEDZTWO, fragment: Abstrakcje i Pluskwy w Nr. 2, 1945, „Nowej Polski”.

Jasne. Uśmiechnięte.

Czoło?

Głęboka pozioma bródka między dwiema grubymi fałdami.

Włosy?

Ciemne blond. Zwichrzone.

Wzrost?

167

Czy kuracja w szpitalu była skuteczna?

Tak. Coraz lepiej poruszał palcami.

Czy chodził do szpitala Grand Rue i potem serpentyną na górę, czy też przy Quatre Chemins skręcał w lewo i szedł ścieżką po zboczu?

Czasem tak, czasem tak.

Czy nigdy nie wspominał o tym, że idąc ścieżką natknął się na coś takiego, czego nie spotyka się co dzień?

Nie.

Czy gdyby był zauważył, na przykład, leżące w krzakach ciało człowieka — byłoby o tym wiadomo?

Prawdopodobnie.

Czy pewnego dnia, w tym okresie czasu, zszedłszy ścieżką po zboczu, nie wstąpił do Komisariatu Policji, który mieścił się obok potoku przy Quatre Chemins?

Tak.

Po co?

Żeby donieść komisarzowi policji, że w Hotelu i w Aneksie Mme Fesanti mieszkają Żydzi.

Czy Uśpizewski widział się z komisarzem?

Nie. Zostawił list w kancelarii.

Czy list napisany był po francusku?

Tak.

Bez błędów?

Bez.

Czy Uśpizewski znał dobrze język francuski?

Bardzo słabo.

Kto mu ten list napisał?

Albo jego przyjaciółka, Francuzka, albo Polepa. Owca ani Gałęzowski ani Iwanow ani Licki ani Cwiartka nie znali francuskiego dostatecznie dobrze. Chyba, że zredagował ten list ktoś z Lyonu.

Kto to była ta Francuzka, przyjaciółka Uśpizewskiego?

Młoda panna, Mlle Marie, pracowała w sklepiku spożywczym obok „Aux vins sans O” przy rue de Quatre Chemins.

Dlaczego właśnie ich, Polepy, Owcy, Gałęzowskiego, Iwanowa, Lickiego, Cwiartki nazwiska zostały wymienione wspólnie i jednym tchem?

Ponieważ tworzyli komórkę oenerowską, później zaś oenerowsko-sanacyjną. Uśpizewski dołączył się do nich.

Kto to był: ktoś z Lyonu?

Regularnie co tydzień, w soboty, przyjeżdżał ktoś z Lyonu i miał długie narady z Polepą i innymi.

Czy list był w zaklejonej kopercie?

Tak.

Zaadresowany na nazwisko komisarza?

Zaadresowany był: *Monsieur le Commissaire de Police à...*

Komu wręczył Uśpizewski ten list?

Siedzącemu za stołem umundurowanemu *agent de police* — François Fontaine.

Co uczynił François Fontaine?

Rozdarł kopertę i przeczytał list.

A potem?

Podrapał się w kark i wyciągnął rękę z listem do siedzącego przy drugim stole „cywilnego” *agent de police* — Bertrand Villeneuve.

Co uczynił Bertrand Villeneuve?

Przeczytał list i powiedział: „*Ca commence...*”

A potem?

„Co masz zamiar z tym zrobić” — spytał.

Co odpowiedział François Fontaine?

„Oddam komisarzowi, *qu'il se débrouille!*”

Co właściwie było w tym liście dokładnie?

List zawiadamił komisarza, że w Hotelu oraz w aneksie Mme Fesanti znajduje się 9 Żydów.

Czy list podpisany był nazwiskiem Uśpizewskiego?

Tak.

Czy rzeczywiście było 9 Żydów w schronisku?

Stosując kryteria norymberskie było Żydów w schronisku 12, stosując kryteria rasowe typu francuskiego było ich 6, stosując kryteria przynależności do gminy wyznaniowej było Żydów 4 tylko, stosując kryteria językowe nie było Żydów wcale.

Ile było w ogóle osób w schronisku?

Okolo 120.

Jak zareagował komisarz na list Uśpizewskiego?

Zwrócił się do kierownictwa o wyjaśnienie.

Co odpowiedział kierownik?

Kierownik schroniska oświadczył na piśmie, że według praw obowiązujących w Polsce wszyscy mieszkańcy schroniska są Polakami.

Czy to oświadczenie wystarczyło komisarzowi policji?

Wystarczyło.

Czy wystarczyło Uśpiszewskiemu?

Nie. Powiedział, że komisarz policji jest Żyd i że kierownik schroniska, były konsul Płycki jest Żyd.

Czy o Uśpiszewskim można powiedzieć, że był kollaboracjonistą?

Nie.

Dlaczego?

Uśpiszewski walczył z Niemcami w 1940 we Francji i tam właśnie został ranny w prawą rękę. Doskonale zresztą wyobrazić go sobie można później, później to znaczy po napisaniu listu do komisarza, jak walczył w tak zwanym *mouvement de résistance*.

W francuskim?

Nie. W polskim.

Przeciwko hitlerowcom?

Przeciwko Niemcom. Więc także, między innymi, przeciwko hitlerowcom, o ile byli Niemcami.

Ile lat miał Uśpiszewski wtedy kiedy pisał ów list?

24.

Ile lat miał Rimbaud kiedy pisał swój ostatni wiersz?

19.

Ile lat miał Cervantes kiedy wydał Don Quixota?

1604 — 1547—57.

Ile lat miał Mozart kiedy opublikował swoje pierwsze sonaty?

7.

Ile lat miał Alexander Chodźko w dniu w którym objął po Mickiewiczu katedrę Literatury Słowiańskiej w Collège de France?

54.

Czy każdego dnia, w każdym miejscu, musi się coś dziać?

Tak.

Co działo się we Włoszech, w Hiszpanii i w Portugalii między 5 i 14 października 1582 roku?

Nic.

Co działo się we Francji między 10 i 19 grudnia 1582 roku?

Nic.

Co działo się w Niemczech i w Holandii między 22 i 31 grudnia 1582 roku?

Nic.

Co działo się w Anglii między 3 i 13 września 1752 roku?

Nic.

Dlaczego?

We Włoszech, w Hiszpanii i w Portugalii w 1582 roku NIE BYŁO dni od 5 do 14 października. We Francji NIE BYŁO w tym roku dni od 10 do 19 grudnia. W Niemczech i w Holandii NIE BYŁO w tym roku dni od 22 do 31 grudnia. W Anglii w roku 1752 NIE BYŁO dni od

3 do 13 września. Na mocy bulli Grzegorza XIII z 24.II.1582 dzień 5 października został w 1582 roku we Włoszech, w Hiszpanii i w Portugalii nazwany dniem 15 października. Na mocy edyktu Henryka III dzień 10 grudnia 1582 roku we Francji został nazwany dniem 20 grudnia. Na mocy Aktu z roku 1750 w Anglii dzień 2 września 1752 roku został nazwany dniem 14 września 1752 roku.

W którym roku w Polsce wypadły dni z kalendarza? ile?

10. W roku 1586.

Jaka jest dokładność Gregoriańskiego kalendarza?

1 dzień na 4000 lat.

Ile lat żyje baobab?

5000.

Co to jest sen?

Sen jest wspaniałym wynalazkiem. Kiedy rzeczywistość jest koszmarna ucieka się w sen.

Co to jest rzeczywistość?

Rzeczywistość jest wspaniałym wynalazkiem. Kiedy sny są koszarne ucieka się w rzeczywistość.

Co to jest śmierć?

Śmierć jest wspaniałym wynalazkiem. Kiedy i sny i rzeczywistość są koszarne ucieka się w śmierć.

Co to jest życie?

Życie jest wspaniałym wynalazkiem. Kiedy śmierć jest koszmarna wszystkie komórki ciała czepiają się życia.

Co to jest 1) metafizyka i 2) fizyka?

Metafizyka i fizyka są wspaniałym wynalazkiem. Kiedy i życie i śmierć są koszarne myśl ucieka w 1) metafizykę albo w 2) fizykę. Zastanawia się nad zagadnieniem: 1). w jakim ciele dusza przeżywać będzie wieczność? w tym młodym rozkwitającym, które było „własnością” człowieka kiedy miał lat 14, czy w tym pomarszczonym, zwiotczałym, które „nosił” po pięćdziesiątce? w tym „w którym” umierał, czy w tym poszarpanym kule, któremu na komisji lekarskiej przyznano 90% renty inwalidzkiej? — albo: 2). jaka jest kalorycznie wartość odżywcza spermy, lub też: czy baobab żyje dłużej niż Mozart dlatego że jest organizmem fizycznie mniej skomplikowanym?

W co uciekł Uśpizewski? Co uczynił?

Uśpizewski dołączył się do grupy Polepy.

Co obiecywała mu grupa Polepy?

Grupa Polepy obiecywała mu sklepik żydowski pod Zakroczymiem.

Co Uśpizewski robił przed wojną?

Pracował w spółdzielni mleczarskiej.

Czy miał zamiar po wojnie nadal pracować w spółdzielni?

Nie.

Dlaczego?

Ponieważ spółdzielnia mleczarska w której pracował nie uratowała Polski.

Czy to Polepa mu to wytłumaczył?
Nie. Wytłumaczyła mu to Mlle Marie, która pracowała w sklepiku spożywczym przy Quatre Chemins.

Jakie były plany życiowe Mlle Marie?
Zostać właścicielką sklepiku spożywczego przy Quatre Chemins.

Jakie były plany życiowe Uśpiszewskiego?
Zostać właścicielem sklepiku spożywczego pod Zakroczymiem.

Jak brzmiały plany życiowe Uśpiszewskiego i Mlle Marie w języku La Fontaine'a?

„Perrette, sur sa tête ayant un pot au lait,
Bien posé sur un coussinet,
Prétendoit arriver sans encombre à la ville.
Légère et court vêtue,...”

Jak się nazywał ów sklepik żydowski pod Zakroczymiem w języku grupy Polepy?

Polska.

Jak się nazywał ów „pot au lait” samego Polepy?

Władza.

W jaki sposób chciał ją osiągnąć?
„...drogą spisku i przy pomocy specjalnej „armii narodowej” którą trzeba przygotować”.

We Francji?
We Francji także.

Z kogo?
Z Uśpiszewskich.

W jaki sposób?
Za pomocą powielacza mieszczącego się na II piętrze w pokoju Lickiego.

Tytuł?
„Orzeł na Amarantach”.

Próbka stylu?

„Jako chwilowi sprzymierzeńcy Rosji dziś, a możliwi wrogowie jutro — nie możemy dopomagać jej w wydobyciu się z kleszczy niemieckich. Nakaz jest prosty: czekać z bronią u nogi, aż wróg niemiecki unieszkodliwi wroga sowieckiego, po czym sam zdarty i wyczerpany padnie pod ciosami Anglo-Sasów na zachodzie i naszymi na wschodzie”.

Jeszcze trochę...?

„Mrzonką, głupią i zbrodniczą mrzonką są programy polityczne tych wszystkich dawnych partji i grup, które myślą o Polsce niepodległej przy jednoczesnym istnieniu Rosji w dzisiejszych granicach. Niepodległa być może tylko Polska — Imperium. Terenem stanowiącym minimum konieczne do życia są ziemie, leżące pomiędzy Odrą a Dnieprem, Bałtykiem a Dunajem i Morzem Czarnym”.

Jeszcze trochę...?

„Nie wojowaliśmy z Żydami i Moskwą, ale oto likwidują ich Niemcy lepiej i skuteczniej, niżby to zdołał uczynić ktokolwiek inny, a zwłaszcza my. Mimo to Żydzi mogą nie tylko trwać, ale i przetrwać w Polsce jako naród. Jak wobec tego Polacy traktować mają Żydów? Na to pytanie my, a z nami z pewnością nie mniej niż 90% Polaków mamy jedną tylko odpowiedź: jak wrogów”.

Jeszcze trochę...?

„Już dziś propaganda masońska ukuła hasło, że Polska po obecnej wojnie, w której zwyciężą państwa o dużych wpływach żydowskich i masońskich, nie będzie mogła być państwem narodowym. Trzeba więc aby Narodowa Polska, Mussoliniego Italia i generała Franco Hiszpania mogły razem wytworzyć zespół państw narodowych, będących wzajemnym oparciem w grze przeciw państwu rządzonemu przez masonerię. Nawet jeszcze rok czy dwa lata po usunięciu Niemców będzie mógł obóz narodowy pokusić się o wzięcie władzy siłą, w drodze przewrotu. Ten zaś kto weźmie władzę i będzie umiał obronić ją, znajdzie się w położeniu obozu Piłsudskiego z roku 1918. Niestety polska warstwa robotnicza, zanim jeszcze na dobre powstała, uległa infekcji w postaci zmarksizowania. Zarówno obóz przewrotu narodowego, jak i przyszłe państwo narodowe, są w stanie wojny z marksizmem we wszelkiej jego postaci”.

Czy „Orzeł na Amarantach” był jedynym pismem wydawanym w Hotelu?

Nie.

Jakie było jeszcze?

„Do Jakiej Polski Wrócimy?”

Czy drukowało się na tym samym powielaczu?

Nie.

A gdzie?

U Francuzów. W sklepie z materiałami piśmiennymi. 9 frs 50 c. za 500 odbitek jednej strony.

Czy było to bezpieczne?

O tyle było to niebezpieczne, że ten sam sklep dostarczał materiałów piśmiennych kancelarii schroniska. Zdarzało się więc że Ćwiartka, który zatrudniony był w kancelarii, zaglądał do sklepu właśnie wtedy kiedy matryca lub gotowe odbitki leżały na ladzie. Na szczęście był krótkowzroczny.

Czy znaczy to że „Do Jakiej Polski Wrócimy?” zakonspirowane było bardziej przed Ćwiartką i innymi Polakami niż przed Francuzami?

Tak.

Czy nie było to przesadą?

Przykład Uśpiszewskiego dowodzi że nie.

Czy „Orzeł na Amarantach” był również zakonspirowany głównie przed „Do Jakiej Polski Wrócimy?”?

Nie.

Dlaczego?

W czasie 36-tej z 1001-nej Nocy Szeherazada mówiła:

„Za czym Ali Nur ujął swój miecz i zbliżył się do Falszywego Wezyra. Ten spojrział nań i rzekł: „O Ali Nur, ja postępowałem w stosunku do ciebie zgodnie z moim charakterem. Azaliż ty nie będziesz postępował w stosunku do mnie zgodnie z charakterem twoim?” Za czym Ali Nur odrzucił precz miecz swój i rzekł do Kalifa: „O Książę Wiernych, rozbroił mnie on!”.

Kto to był Falszywy Wezyr?

Ba, chociażby Polepa, albo ów ktoś z Lyonu, jeżeli nie z Londynu.

Kto to był Ali Nur?

Chociażby dr. Śliwkowski, albo np. Felicki.

Felicki?

Ten, który przywoził matryce „Do Jakiej Polski Wrócimy?”

Kto to był Felicki?

1° „podopieczny”, 2° podchorąży, 3° kierowca tanku (w Polsce 1939 i we Francji 1940), 4° członek Sodalicii Mariańskiej, 5° przed wojną właściciel przedsiębiorstwa autobusów międzymiastowych (w trójkącie Płock, Włocławek, Sierpc); wzrost: 182, oczy: niebieskie, przedział po lewej stronie.

Co mówił o nim Edwin Fuchs?

Mówił: „a ja wam mówię, Felicki jest morowy chłop!”.

Co mówił o nim dr. Śliwkowski?

„...E..., ja go lubię, on byczy jest, Franio!”

Co mówiła o nim pani Szczodropacka?

„Pan Felicki jest przystojny mężczyzna”.

Co mówił o nim p. gen. Bliski?

„Pan Felicki mógłby służyć za wzór wielu innym”.

Czy p. gen. Bliski wiedział o związkach Felickiego z „Do Jakiej Polski Wrócimy?”?

Nie.

Czy gdyby był wiedział opinia jego o Felickim zmieniłaby się?

Być może że tak, lecz możliwe że nie.

„Do Jakiej Polski” chciał „Wrócić” Felicki?

Powiedział do dra Śliwkowskiego: „Wiesz, Heniu, ja chcę dla siebie tylko jednego, żebym mógł po wojnie robić to samo co robiłem przed wojną. Chcę, widzisz, puszczać wozy na tych samych odcinkach Płock, Włocławek, Sierpc. Ja to lubię, widzisz, mieć do czynienia z szoferami, z bagażem, z ludźmi!” — „To znaczy, że chcesz mieć z powrotem przedsiębiorstwo” — powiedział Śliwkowski. „Nic nie rozumiesz, Heniu — odrzekł Felicki — Czy myślisz że ja zarabiałem więcej niż moi szoferzy? No pewnie, że trochę więcej, ale mógłbym zarabiać i mniej, co to mnie obchodzi? Prowadziłem sam wozy, tak samo jak oni i miałem w rękę tę całą organizację, rozumiesz? W Sierpcu „Halina” się spóźniła, co zrobić? „Kleopatra” musi iść do remontu we Włocławku, którym ją zastąpić? W Płocku na „Jadwigę” policja spisała protokół, komu dać w łapę? Ja lubię tę robotę, rozumiesz? I przemyślałem sobie to wszystko. Wozy? Wozy mogłyby być nie moje. Niech należą do moich szoferów, czy do gminy, czy do państwa, co to mnie obchodzi? I ja się mogę nazywać nie: *właściciel*, a jak chcesz, Kapitan Floty Autobusów Międzymiastowych, to mi wszystko jedno, ale niech ja mam tylko tę pewność, że ta organizacja, rozumiesz?, że to „kapitaństwo”, nie wiem jak to powiedzieć żebyś zrozumiał, no, że ta robotą jest moja”.

Czy „Do Jakiej Polski Wrócimy?” było związane z jakąś partią polityczną?

Miało być związane z PPS, ale w owym czasie nie miało nawiązanego kontaktu z Londynem.

Czy „Orzeł na Amarantach” miał nawiązany kontakt?

Tak.

Które z tych dwóch pism miało większą objętość?

„Orzeł na Amarantach”.

Które z tych dwóch pism miało większy nakład?
„Orzeł na Amarantach”.

Które z tych dwóch pism miało większą rzutkość i t.zw. „dynamizm”?
„Orzeł na Amarantach”.

Dlaczego?

Karol Marks powiedziałby być może, że „postęp „Do Jakiej Polski Wrócimy?” szedł naprzód nie dzięki swym natychmiastowym tragi-komicznym osiągnięciom, lecz przeciwnie, dzięki stworzeniu silnej, zjednoczonej grupy „Orla na Amarantach”, dzięki stworzeniu przeciwnika, którego zwalczenie może dopiero przerodzić partię buntu w prawdziwą partię rewolucyjną”.

Czy Karol Marks powiedział już był kiedyś coś podobnego?
Tak. We wstępie do „Walki Klas we Francji, 1848-50”.

Jakie słowa zostały zmienione w powyższej cytacie?

Słowo: „rewolucja” zostało zmienione na słowa „Do Jakiej Polski Wrócimy?” i słowo: „kontr-rewolucja” zostało zmienione na słowa: „Orzeł na Amarantach”.

Czy nie jest raczej dziwne, że właśnie Uspiszewski, który pracował przed wojną w spółdzielczości, przystąpił do grupy Polepy, Felicki zaś, który był prywatnym właścicielem przedsiębiorstwa autobusowego, związał się z pismem socjalistycznym, które zamierzało być czy też było organem PPS?

Być może, że jest to dziwne. Ale...

Ale co?

Ale w tym wypadku tak było.

Jak brzmi 25 punktów niemieckiego programu 1^o) narodowo — 2^o) socjalistycznego z roku 1920?

1. zjednoczenie członków germańskiego folku w wielkiej Germanii;
2. równość germańskiego folku z innymi narodami, traktaty Versailles i St. Germain won;
3. ziemia i gleba (kolonie) dla wyżywienia i osiedlenia germańskiego nadmiaru zaludnienia;
4. germańskie obywatelstwo tylko dla folkkamradów krwi germańskiej, żydy przez;
5. nie-obywatele „gośćmi” podległymi specjalnym prawom;
6. stolki w urzędach tylko dla obywateli; śmierć skorrumpowanemu systemowi parlamentarnemu;
7. zaopatrzenie bezrobotnych przez państwo;
8. zamknięcie wszelkiej dalszej imigracji nie-germanów i natychmiastowe wysiedlenie wszystkich nie-germanów (żydów i Żydów), którzy imigrowali do Germanii po 2.IX.1914;
9. wszyscy obywatele równe prawa i obowiązki;
10. pierwszym obowiązkiem każdego obywatela: być duchowo albo fizycznie produktywnym;
11. zniesienie niezarobionych dochodów, „złamanie niewolnictwa *odsetek*”;
12. zniesienie zysków z wojennego paskarstwa;
13. nacjonalizacja wszystkich koncernów przemysłowych;
14. obfite zaopatrzenie na starość;
15. podział zysków w wielkim byzniesie;
16. stworzenie krzepkiej klasy średniej i natychmiastowa „komunalizacja” wielkich domów handlowych, wynajmowanie ich na umiarkowanych warunkach małym koncernom;
17. reforma rolna, obejmująca wywłaszczenie bez odszkodowania dla celów dobra publicznego, zniesienie renty dzierżawnej i zabezpieczenie przed wszelkim spekulowaniem ziemią;
18. dzielna wojna przeciwko tym wszystkim którzy szkodzą dobru powszechnemu, śmierć zdrajcom, lichwiarzom, paskarzom, bez oglądania się na ich religię lub rasę;

19. Germańskie Prawo Powszechne zamiast materialistycznego Prawa Rzymskiego;
20. darmowe szkoły dla wszystkich zdolnych dzieci i wrazenie im za młodu w umysł pojęcia Państwa;
21. opieka państwa nad zdrowiem folku za pomocą ochrony interesów matki i dziecka, zniesienia pracy młodocianych, rozwijania sportu, popierania wszystkich młodzieżowych organizacji gimnastycznych;
22. zniesienie armii zawodowej i stworzenie folk-armii;
23. wojna rozmyślnym kłamstwem politycznym i ich rozprzestrzenianiu za pomocą prasy, wszyscy wydawcy germańskich gazet — germańskiej krwi;
24. wolność wszystkich wyznań jeśli nie obrażają uczuć moralnych germańskiej rasy; Partia opowiada się za „Pozytywnym Chryścijaństwem” i przeciwstawi się duchowi żydowsko-materialistycznemu;
25. stworzenie silnego rządu centralnego dla zrealizowania zasady: „dobro powszechne przed dobrem indywidualnym”.

Już?

Już.

Które z tych punktów 1° narodowo-2° socjalistycznych można określić mianem: 1° narodowe?

Na przykład: 2, 4, 5, 6, 8, 19, i inne z ducha jeśli nie z litery.

Które z tych punktów można określić mianem: 2° socjalistyczne, które z nich obiecują zniesienie panowania kapitalizmu?

Na przykład: 11, 12, 13, 15, 16, 17, i inne z litery jeżeli nie z ducha.

Które z nich zostały wprowadzone w życie?

2, 4, 5, 6, 8, 19.

Które z nich nie zostały wprowadzone w życie?

11, 12, 13, 15, 16, 17.

Czy Cwiartka nie chodził nigdy ścieżką od Quatre Chemins wiodącą po zboczu do szpitala?

Nie.

Czy Felicki nie chodził nigdy tą ścieżką?

Nie.

TADEUSZ POTWOROWSKI

POBOJOWISKO

Pewnego wieczoru kiedy byłem sam w pracowni usłyszałem pukanie do moich drzwi, a kiedy je otworzyłem zobaczyłem przed sobą wysokiego, chudego człowieka w czarnej oponczy.

Lampa znajdująca się w mojej pracowni oświetlała jego dziwną, wąską twarz, o ostrych rysach, podobną do twarzy jakiegoś mistycznego apostoła.

Jego długa postać rzuciła czarny cień na odległą ścianę korytarza.

Doznałem wrażenia jakbym już znał tego człowieka. Musiałem spotkać go w Florencji, kiedyś bardzo dawno, gdzieś w beznadziejnie długich korytarzach galerii portretów, które łączą pałac Ufficich z pałacem Pittich. Ale nie mogłem sobie przypomnieć jak się nazywa, ani kim jest.

Wysoki człowiek pochylił się nade mną i zaczął szeptać:

— Nie wolno ci pozostawać w sztucznym ogrodzie fikcji, który stworzyłeś w koło siebie, patrz na świat który płonie.

— Chodź za mną pokażę ci szaleństwo człowieka, które rzuci cię na ziemię twarzą w błoto.

Chciałem się cofnąć, ale nieznajomy chwycił mnie za rękę, wiatr zatrzasnął gwałtownie drzwi od mojej pracowni i nim zorientowałem się o co chodzi byliśmy już na ulicy. Zrezygnowany poszedłem za nieznajomym.

W milczeniu przechodziliśmy poprzez ciemne ulice opustoszałych domów, poprzez przedmieścia w gruzach, aż wyszliśmy na szerokie pola poboju i na cmentarze obozów koncentracyjnych.

Był przedświt.

Wielkie żelazne maszyny pokryte rdzą, leżały zaryte w błoto, a pomiędzy nimi trupy ludzkie nagie i sine, trupy koni z kikutami sterczącymi w górę, trupy spalonych żywcem.

Narody całe wymordowane leżały pokotem przed nami na wielkich polach Europy.

Mój przewodnik wciągnął trupi zapach w swoje płuca, załamał ręce i wołać rozpoczął o pomstę do Nieba.

A potem wzywał sztukę, aby przyszła i nędzę rozpaczliwą człowieka pokazała śpiącym miastom.

I chciał, żeby rozpacz rodziła rozpacz i żeby sztuka pokazała światu okropności wojny.

Nastał dzień.

Z daleka, pomiędzy połamanymi maszynami zaczął zbliżać się do nas jakiś człowiek żywy, szedł powoli przystając co chwila a w rękę trzymał kartki na których rysował okropności wojny.

Kiedy był już blisko zdało mi się, że rozpoznaję w nim wielkiego malarza bitew Poala di Dono Uccella.

Kiedy spojrzałem na jego karty zobaczyłem formy i kolory, które w zachwyty mnie wprowadziły i zapomniałem o ponurym poboju wokół nas.

Ale mój towarzysz zatrzepotał rękami i wołać zaczął, że nie tej sztuki potrzeba miastom ocalałym od pożogi, żądał bezpośredniego negatywu wstrząsających zjawisk, autentycznego dokumentu czasu w którym będzie zawarta cała groza wojny, odstrasząca i rozpaczliwa.

Sztuka współczesna musi być ponura i negatywna jak śmierć, która chodzi po polach świata!

Patrzyłem się z przerażeniem na nieznajomego, który wykrzykując wdrapał się na potrząskany czołg i nagle poznałem go.

Były to te same ostre rysy, ta sama mistyczna twarz, którą widziałem we Florencji.

Był to Savonarola.

Naprzeciwko niego stał Uccello uśmiechnięty i spokojny ze swoimi szkicami w rękę, a kiedy je nagle rozwinął przed nami ponure poboju stało się podobne do jego obrazu.

Rozbite czołgi przybrały kształty Nieoczekiwane i Wspaniałe.

Trupy końskie stały się Czystą Formą, a światło na twarzach zabitych Zestawieniem Kolorystycznym.

Cała okropność wojny znikła, pozostała tylko sztuka, która była radością dla moich oczu.

Chudy człowiek zadygotał z oburzenia, ręce swoje długie wznosił do góry i wymachując nimi rozpaczliwie poszedł poprzez poboju, poprzez chaos rozbitych maszyn na cmentarze opuszczone, z których nie ma wyjścia, ani powrotu.

Stałem oparty o potrząskaną armatę i patrzyłem za odchodzącym.

Już był daleko, gdzieś na widnokręgu i ginął pośród sinych blasków gasnącego dnia.

Litość mnie ogarnęła dla szaleńca, a potem bunt przeciwko jego rozpacz.

Przypomniały mi się obrazy najróżniejsze, które kłęski człowieka przedstawiały, Giotta Chrystusy na wielkich drewnianych krzyżach malowane, Rembranty, Goye, Delacroix, Courbety.

Wszystkie te tragiczne obrazy były tryumfem formy i koloru i patrzenie na nie dawało radość jakąś wspaniałą, większą niż patrzenie na bukiety kolorowych, pysznych kwiatów.

Myślałem o malarzach, którzy sprawili, że forma i kolor zaczęły wyrażać tragizm same przez się, bezpośrednio.

I zrozumiałem, że sztuka malarska jest przejawem samej istoty potęgi życia, że nie może być nigdy negatywną i, że jest buntem przeciwko rozpacz.

STANISŁAW ILEWICZ

ORANIENBURG — ALDERNEY — KORTENMARK

Rozdział III

TU TRZEBA MIEĆ KAMIENNE SERCE

Był wrzesień 1940 roku. U brzegu kanału stały statki, naładowane żelazem, drzewem, gruzem. Środkiem płynęły pasażerskie statki: tłumy ludzi, przeważnie jednak kobiet, stały na pokładzie. Dźwięki harmonii dolatywały do brzegu. W szalonym pośpiechu, przy akompaniamencie wrzasków: — Loss, Loss, Bewegung! — potrąceni — zbiegaliśmy po wąskiej desce, łączącej statek z brzegiem, dźwigając potężne belki, deski. Co jakiś czas ktoś wpadał do kanału albo na skutek utraty równowagi, albo kopnięty przez Vorarbeitera. Ciężkie żelazne taczki, naładowane cegłą, gruzem, z trudem popychali po kładce więźniowie. Tam dalej wyładowywano węgiel, koks. Dźwigało się w dużych, żelaznych koszach. Bardzo ciężko było przy wyrzucaniu z berek żwiru, piasku. Ani na moment odpoczynku. Od 7 rano do 12; pół godziny przerwy obiadowej i dalej to samo do godziny 6-tej. Wieczorem wracaliśmy na swój blok. Blok nr. 65. Praca była ciężka. Przychodziliśmy tak zmordowani, że padaliśmy od razu na ziemię. Nie to jednak było najcięższe. Ciężko było wytrzymać ten ustawiczny, nie ustający nigdy krzyk, to ciągłe bez powodu bicie. Codziennie, gdy wieczorem staliśmy na placu apelowym, najczęściej jednak rano, wywoływano numery, więźniowie wybiegali i ustawiali się pod bramą, plecami do nas. Jeśli

stawali z prawej strony — byli zwalniani, jeśli z lewej, rozstrzeliwano ich. Po kilkunastu dniach dużo było chorych, dużo odchodziło na zawsze. W przerażającym tempie transport lubelski topniał. Nasz blokowy radził nam o niczym nie myśleć, trzymać się mocno, przyjdą jeszcze bardzo ciężkie czasy — tu trzeba mieć kamienne serce — mówił i dodawał, uśmiechając się — najgorsze to pierwsze pięć lat. — Ja jestem w Sachsenhausen już pięć lat i patrzcie jeszcze żyję. A było tu przed tym lepiej, ale było i gorzej.

Nikt w obozie nie mówił Oranienburg tylko Sachsenhausen. Urzędowy adres brzmiał: „Konzentrations Lager Sachsenhausen, Oranienburg bei Berlin. Obóz leżał o 35 km. od Berlina, 3 km. od Oranienburga, a Sachsenhausen to była mała stacja kolejowa i osiedle, przeznaczona wyłącznie dla SS-manów, ich rodzin, policji. Obóz był otoczony wysokim murem, na którym jeszcze wyżej rozpięte były druty, przez które przechodził i w dzień i w nocy prąd elektryczny, którego napięcie w ciągu dnia było słabsze. Wzdłuż murów stały betonowe wieże strażnicze, zaopatrzone w dzwonki alarmowe, reflektory i karabiny maszynowe. Wewnątrz obozu przed murem były trzy, gdzie indziej nawet cztery rzędy drutów, przez które również przechodził prąd. Na dwa metry przed drutami stały słupki z tabliczkami, oznaczone trupią czaszką i napisem: „Neutral Zone”. Przekroczenie tej linii — śmierć.

Codziennie rano o godzinie 6,30 stawaliśmy na placu apelowym. Odbywał się raport. Plac był olbrzymi, mieściło się na nim 15 tysięcy ludzi, ustawionych piątkami; drugie 15 tysięcy pomieściłoby się. Stawaliśmy blokami. Środkiem placu od głównej bramy biegł szeroki na 3 metry chodnik cementowy. Biegł aż do miejsca, gdzie rozpoczynały się baraki. Po obu stronach tego chodnika stały bloki. Czekaliśmy na rozpoczęcie raportu. Od godziny 5 byliśmy na nogach. Przed wyjściem z baraku musieliśmy zostawić w idealnym porządku posłanie, szafki i stoły. Uznanie czy istotnie jest wszystko w porządku, zależało od kilku „władz”. U Niemców jest to długa i skomplikowana procedura. Czterech ludzi ma jedną szafkę, do której chowa się miski, łyżki, kubki. Jeden z tych czterech jest „szafkowym”. On odpowiada za całość i za każdą poszczególną miskę czy łyżkę. On rozkazuje, on może ukarać np. 3-4-5 dniowym czyszczeniem szafki, a więc myciem jej, glansowaniem papierem drzewnym i t.p. Może więc szykanować, może ci zająć 2-3 godziny wieczorem, może przedstawić blokowemu do ukarania. Są stoły. Nie w tym znaczeniu, że siadasz tylko i jesz. Stół ma służbę: — czystości umywalnie, ustęp, sypialnię, jadalnię, dziedziniec — wyznaczony jest do ładowania rollwagi w niedzielę i t.p. Przy stole siedzi od 18-22 ludzi. Jest więc starszy stołu i jego zastępca. Ten już jest pan całą gębą. Ten karze boleśnie: — tydzień czyszczenia ustępu lub umywalni, 5 dni porządek w sypialni — 6 dni polewanie ogródków. Wszystko oczywiście po godzinach pracy. Barak dzieli się na dwa skrzydła A i B. Jest więc starszy „Stuby”, no i wierzchołek, pan życia i śmierci — blokowy. Ten może ukarać odebraniem jedzenia, może robić sport całym blokiem, bić i zabić. I nie ponosi żadnej odpowiedzialności. Znałem takich blokowych, którzy zabijali ludzi, wieszali ich, otrzymując od władz pochwały.

Stoimy więc, czekając na raportführera, który odbiera raporty

o stanie bloków od poszczególnych Blockführerów. Raportführerem w tym czasie był Hauptscharführer Campe, potem Nowacki, w końcu Gustaw Sorge „Eiserne”.

Pada komenda: — Still gestanden, Augen rechts! — i blokowy idzie z raportem. Czekamy 3 — 4 — 10 minut, to zależy i koniec. Następnie Raportführer daje całości te same co poprzednio komendy, plus — Mützen ab! i zdaje raport oficerowi, który pełni funkcję Lagerführera — takich jest trzech. Komendantem obozu jest wyższy oficer, ale ten pokazuje się w obozie 2 razy do roku. W 1940 roku komendantem był Baranowsky. Wszystko więc było zorganizowane, ustabilizowane, każdy odpowiadał za siebie, za wszystkich, a najczęściej wszyscy za jednego. Było to ogromnie męczące. Jeszcze dzisiaj w 1945 roku pamiętam dokładnie, że wtedy, w 1940 roku na jesieni blokowym był Niemiec (obowiązkowo) Spielman — jakiś budowniczy, zastępca jego Polak (jedyny w całym Oranienburgu), Michał Ł. z Cieszyna, zawodowy podoficer, stołowym stołu 3-go Władek S. człowiek bardzo inteligentny, muzykalny, czytany, człowiek o dużej kulturze, ale ogromnie uczuciowy, niepomamowany w gniewie, zastępcą byłem ja sam we własnej osobie, zrobił mnie nim Władek, bo chciał, bym miał trochę spokoju w niedzielę i korzystał z pewnych przywilejów. Szafkowym był Stefan S. nauczyciel z Chełma, przystojny, o dobrych manierach, sióstrzeniec generała kawalerii G. Był idealnym szafkowym. Zawsze czyścił, dmuchał, robił za siebie i za innych. Kiedy miał dosyć, buntował się i podawał się do dymisji — mówiłem poważnie: — koledzy, uważam, że będę wyrazicielem wszystkich, jeśli oświadczę w waszym imieniu, że Stefan posiada specjalne uzdolnienie, wyjątkowy takt, który go nigdy nie opuszcza i on tylko może reprezentować nas, on godnie podtrzymuje...tak, tak! — krzyczeli i Stefan zostawał. Był dobry chłop. Zostawił żonę, która powinna być nim, a on nią i córkę. Ogromnie

tesknił za nimi i bardzo się ucieszył, gdy po roku więzienia żonę uwolnili. To był 3-ci stół. Przy nim właśnie odbywały się referaty, odczyty, dyskusje, podczas których przewodniczył Władek S., Marian Z. albo ja.

Stołowym pierwszego stołu był kapitan M. z Białej Podlaskiej, drugiego adwokat z Gdyni Marian Z., czwartego Edward K. z Lubartowa, piątego dziennikarz L. z Poznania, szóstego kierownik szkoły Kazio M., siódmego malarz Zygmunt G. z Lublina. Wszyscy żyli, gdy opuszczałem Sachsenhausen.

Gdy raport był ukończony, pałała komenda: „Arbeitskommando antreten”. — Wszystko się mieszało, wszyscy pędzili w różnych kierunkach i ustawiali się przy swoich komendach. Były one zewnętrzne i wewnętrzne. Do zewnętrznych należały — drwale — piekarnie — klinkiernia — Speer-kanalizacja — budowa mostu — budowa domów — ogrody — budowa szosy i t.p.

I wewnętrzne: — fabryka butów — warsztaty szewskie — krawieckie — stolarnia — rollwagi — składy drzewa — warsztaty ślusarskie — mechaniczne — pralnia — magazyny — łaźnia — itd. itd.

Komendy wewnętrzne były stonkowo niezłe, ale cóż — mogły zatrudnić maksimum 1000-2000 ludzi, a reszta pracowała zewnątrz obozu. Ciężka, ale spokojna praca była przy rollwagach, dużych wozach, którymi wożono węgiel, cegły, płyty betonowe, żywność, odzież. Więźniowie mieli zaprzęgi; wkładali je na siebie i udawali koni.

Do obozu zwożono materiał wszelkiego rodzaju, zrabowany w zajętych krajach. Drzewa budulcowego było na miliony złotych. Cały dzień krążyły samochody. Z desek układano olbrzymie na 5-7 metrów stosy staple, dlatego też tych, którzy pracowali przy układaniu tych stapli, nazywali staplerami. Pracowało się w zespołach. W moim byli: b. radca wojewódzki z Poznania, sędzia z Gniezna, margrabia W. Radca był bardzo dokładny, robił wszystko do wasserwagi; praca ta pochłaniała

go do tego stopnia, że o niczym nie pamiętał, natomiast margrabia, wysoki, w rogowych okularach, trochę był fajtlapowaty, udawał, że go to interesuje, był zawsze nie na swoim miejscu; tak to oceniał radca, który W. rugał dosyć stylowo — nie jak radca. Sędzia z Gniezna nawet nie wysiłał się, trzymał jedną deskę, taką reprezentacyjną od rana do południa. Sędzia był elokwentny i dowcipny. Nie zwracał uwagi na zrzędenie radcy i pilnie obserwował, czy nie idzie t.zw. forman lub vorarbeiter. Gdy któryś z nich nadchodził, sędzia tak był zajęty pracą, że odrywał się dopiero wtedy, gdy go klepnięto w plecy. Miał dobrą markę, uchodził za dobrego pracownika. To był mistrz w objaniu się. Ten mi imponował. Później przekonałem się, że są tacy sami jak on a nawet lepsi. On improwizował, tamci mieli system.

Stefan Z. n.p. i jego kolega Bolesław P. z poznańskiego robili na najcięższej komendzie t.zw. Speer i byli bardzo zadowoleni, inni kończyli się tam. Stefan wykladał swój system: — Zawsze staraj się, by ciebie nie widział vorarbeiter czy SS-man. Jeśli pchacie wagon, trzymaj się z tej strony, gdzie ich nie ma. Jeśli oni przechodzą na twoją stronę, przechodź na drugą. Grunt, by cię nie zauważyli, nie zapamiętali... Jeśli nosisz szyny nie pchaj się między równych lub niższych wzrostem od ciebie. Stawaj między wyższymi, ramię podnoś wysoko w górę. Nie rób nigdy tego, co robisz teraz: nie pchaj się do lory z dobrymi kolegami, ani nawet tam, gdzie jest dwóch swoich, a jeden obcy. Jeden nie popcha lory, chyba, że ty mu pomożesz. Patrz, my z Bolkiem żyjemy jak bracia; przyjemnie byłoby nam razem pracować, porozmawiać... Ale cóż, lora jest ciężka, jeden, ten trzeci nie da rady; więc rezygnujemy z przyjemności i pracujemy — nie uśmiechaj się — qsobno. Jeśli masz łopatę, szpadel, to nie opieraj się jak na lasce — lecz poruszaj się, udawaj, że robisz — bo nie masz gwarancji, czy Bogdała z dachu gdzieś nie obserwuje. — I jeszcze wiele cennych informacji

uzyskałem, z których najważniejsza była, że mam wsunąć w rękę zielonemu bandycie Arnoldowi, który był formanem, 1 markę — będzie miał na ciebie oko, gdy schwyci cię na staniu, nie rozbije ci głowy szpadlem, ale uda, że nie widzi.

Nie uratowało to jednak Stefana od otrzymania cięgów w parę miesięcy później, rozbito mu twarz, chorował na żołądek. Gdy odjeżdżałem, Stefan się postarzał, posiwił i stracił humor.

Z wysokości kilku metrów, obserwowałem okolice. Był ładny słoneczny dzień październikowy. Daleko poza murami widziałem jadących rowerzystów, szły grupki dzieci z tornistrami na plecach. Przypomniał mi się Stanin sprzed dwóch lat, z 1938 roku. Zapomniałem, gdzie jestem, zapomniałem, że stoję na kupie desek, że budujemy stapel. Pracowaliśmy razem z Władkiem S. i Edkiem K. Edek z waserwągą w rękę pilnował prawidłowej budowy, my z Władkiem odbieraliśmy z dołu deski i układaliśmy. Na samym szczycie byliśmy w trójkę, niżej na piętrze dwóch, na ziemi też dwóch i jeden donosił. Był nim Goldman, adwokat. Władek wstrzymał na chwilę robotę i wygłosił z góry przemówienie: — wszyscy, którzy pracują niżej nas, są naszymi podwładnymi, my zwierzchnikami. Ci, którzy pracują niżej nas na piętrze, są zwierzchnikami tych na ziemi, ci zaś z kolei są zwierzchnikami tego, który podaje materiał t.zn. Antka Goldmana. My tu na górze jesteśmy ostateczną instancją. W razie przewinienia kogoś z was, jako pierwszy stopień kary, udzielimy upomnienia, za tym idzie nagana; w dalszej kolejności oplucie z góry — musicie się odpowiednio ustawić między dwiema ścianami — no, gdyby to nie pomogło — możecie się domyśleć.

Ileż tematów poruszaliśmy. Władek choć warszawianin — dużo opowiadał o Gdyni, bo pracował tam 10 lat — znał wszystkie uzdrowiska w Polsce, opowiadał bardzo interesująco — z kolei my poruszaliśmy tematy, zapominaliśmy,

gdzie jesteśmy, zapominaliśmy o robocie i gdyby nie ci na dole, to skończyłoby się dalszą utratą zębów. Ale ta sielanka nie trwała długo. Dostaliśmy gorszą robotę i czasy staplowania wspominaliśmy tak, jak podczas staplowania wspominaliśmy czasy na wolności. Napisałem pierwszą kartkę do domu po niemiecku, bo tylko w tym języku można było korespondować i otrzymałem odpowiedź. Umiałem tę kartkę na pamięć. Obowiązkowo musieliśmy pisać co dwa tygodnie. Wymiana listów była regularna. Treść naszych listów była stale jednakowa: — jestem zdrow, dobrze się czuję, myślę o Was. Piszcie długie listy. Całuję wszystkich. Jeśli było dla cenzury coś niejasnego, kartki nie puszczono. W tym czasie dużo naszych umierało, co jakiś czas dostawali z obozu zawiadomienie, że umarł nagle na serce, więc jeśli kartka od nas nie przyszła w przepisany terminie, w domu była rozpacz, gdyż wyobrażali sobie wszystko, co najgorsze.

Pisała mi raz żona. „Właśnie dzisiaj byłam w Łukowie. Miałam zmartwienie, gdyż od miesiąca nie było od ciebie wiadomości. W dodatku akurat przyszło zawiadomienie, że Nuszyński umarł. (Nuszyński był razem ze mną w obozie). W szalonym niepokoju pędzę do domu i zastaję kartkę od ciebie. Ucałowałam ją“.

Moi łukowianie nie mieli szczęścia. Zabili adwokata Jacobiego jak szczura: butem, szczotką, łyżką od nabierania zupy — zamęczyli Nuszyńskiego, umarł Suchodolski, z głodu umarł Tymoteusz Pogonowski, zostałem sam, bo już uprzednio trzech innych wywieźli do Dachau.

GEDENKTAG

Był mroźny suchy poranek. Jeszcze daleko było do wschodu słońca. Przed barakami snuły się jak cienie postaci ludzkie. Tu i ówdzie błyszczwały drobne punkciki ognia. Grupkami po 5, 6 tłoczyli się więźniowie, czekając kolejki zaciągnięcia się dymem. Rozmowy

toczyły się jak zawsze na jeden temat: jedzenie; trzy cztery małe kartofle i pół litra szpinaku z wodą. Brakowało jeszcze dobre pół godziny do zbiórki porannej. Wróciliśmy do baraku. Wszyscy już ubrani, gotowi do wyjścia, siedzą na ławkach, rozmawiając półgłosem. Sala robiła wrażenie poczekalni kolejowej. Ten sam nudny nastrój oczekiwania. Najgorsze właśnie były owe chwile oczekiwania. Myśli snuły się około tego — nie co już przeszło, lecz tego, co przyjdzie. Takie to wszystko było niepewne. Czy trafię do swojej roboty, czy wezmą mnie do innej, który SS-man będzie z nami i jak ten dzień przejdzie?... Tylu codziennie przynoszono z roboty. Wiecznie ten niepokój! Żeby to już raz się skończyło. Nastrój jest ciężki. Nie słychać śmiechu, nie widać uśmiechu. Gwizd!!! Wychodzimy przed barak i ustawiamy się piątkami. Jak zawsze staję w pierwszym rzędzie, jak zawsze Władek staje w trzecim. Równamy, kryjemy, odliczamy. Idziemy na plac apelowy. Stajemy na swoim stałym miejscu: pierwsi od baraków, trzeci od budynku, w którym mieszczą się biura dyżurnych, budynku piętrowego, który ma długą galerię na zewnątrz i skąd patrzą na nas światła reflektorów, karabiny maszynowe i dwie wskazówki zegara. Stoimy, ale jakoś długo nie ma raportu. Wskazówki zegara przeszły już siódmą, światła reflektorów gasną, ale rozpoczyna się ruch. Gońce roznoszą po blokach kartki. To znak, że będą zwolnienia. Dla naszego bloku, nie ma kartki. Jesteśmy rozczarowani. Aczkolwiek takie myśli są głupie, to jednak ... to nas do pewnego stopnia trzyma. Już wywołują. Same czeskie nazwiska — 10, 20, 100 i więcej i więcej. Ustawiają się. Studenci.— No — mówi ktoś, o tych Hacha się stara. A my... my nieugięci, kryształowi, spizowci itd.

Wołają jednak i Polaków. Mówią o masowych zwolnieniach a tu tylko 32 czy też 36. Słyszymy, ale

niedokładnie, są: jakieś ski, wicki, nowicz itp. Ustawiają się pod bramą Czesi; stoją osobno, w kolumnie, gdyż jest ich ponad 200. Czas leci, dochodzi ósma — Czesi idą w kierunku łaźni, kąpać się, przebierać w cywilne ubrania, a my nie idziemy do roboty. Stoimy. Jest już blisko 9. No, wreszcie i z naszymi ruch. Obracają się twarzą do nas. Niektórzy poznają ich. — O, ten tam to dr. Ryll, ordynator szpitala Marszałka Piłsudskiego w Warszawie. Dobry chirurg — dodaje. — Tamten, to inżynier Piotrowski, też z Warszawy — obwieszcza drugi.

Zdejmują bluzy, kładą na ziemi, przed siebie. Co to jest!... W tej chwili podjeżdża czarny samochód. O Jezu!... Wiemy... Ładują ich na ten wóz, coś tam krzyczą, kogoś pchają, ktoś woła: — Wszystkich nas nie wystrzelacie! Niech... nie słyszymy — pada komenda i marszerujemy. Wchodzimy między bloki. Industriebhof jest kilkadziesiąt metrów od nas. My tam robimy z Władkiem S. — tam jest taki zaułek, z prawej strony jest szopa, na lewo wbity słupek, u wierzchu jest kółko żelazne. I zawsze miejsce koło tego słupka jest wysypane trocinami... My wiemy, my tamtey codziennie przechodzimy. Stoimy między blokami. Dzień jest jasny, mroźny z lekka. Blokowi i Niemcy chodzą jacyś posepni. Podchodzą do drutów i zaglądają. My nic nie mówimy, jakoś nie możemy. Wszystko w nas jakby zgasło. Pytamy się blokowego, co to jest... dlaczego?... Wyjaśnia: dzisiaj Gedenktag, 9 listopada. Niemcy w ten sposób czczą ten dzień. Stajemy się naraz jacyś rozdrażnieni, z odrazą niemal patrzymy na siebie. Dlaczego nie można pójść gdzieś do kąta, dlaczego nie mogą być sam?...

Jest tak ładnie na dworze. Patrzymy na wschód. Rozległ się naraz grzot salwy. Uczuliśmy już w swoich piersiach. A po tym druga... dziesiąta... trzydziesta... i jeszcze, jeszcze... d. c. n.

Biblioteka Główna UMK



300043899808

SPIS RZECZY

	Str.
KSAWERY PRUSZYŃSKI — <i>Oni i W'y</i>	353—360
WIKTOR WEINTRAUB — <i>Ostatni tom bibliografii</i>	360—368
FELIKS TOPOLSKI — <i>Notatki z ostatnich dni wojny</i>	369—384
JAN BRATNY — <i>Miłość; Oltarz (wiersze)</i>	385
STANISŁAW OSTROWSKI — <i>Pejzaż utracony</i>	385—386
ZYGMUNT HAAPT — <i>Uwagi i spostrzeżenia Fortunata Zajęczkowskiego</i>	386—388
OLGIERD GÓRKA — <i>Psychoza „Wielkiej Emigracji”</i>	389—396
FRANK SAVERY — <i>Warszawa w oczach Anglika</i>	397—401
STEFAN THEMERSON — <i>Sledztwo</i>	401—410
TADEUSZ POTWOROWSKI — <i>Pobojowisko</i>	410—412
STANISŁAW ILEWICZ — <i>Oranienburg — Aldernay — Kortemark</i>	412—416

Własna piwnica wyborowych win



OBIADY i KOLACJE

Le Coq d'or Restaurant

POD KIEROWNICTWEM OSOBISTYM
G. HENRI SARTORI

Stratton St., Piccadilly, W. I
Tel. : MAYfair 7807-9

POD NOWYM ZARZĄDEM!

**RESTAURACJA
FRANCUSKA**

LACOQUILLE

79, ST. MARTINS LANE.
LONDON W. C.

TEL. : TEMple 8768

W niedziele zamknięta

Telephone:  GER. 6847

HONG KONG CHIŃSKA RESTAURACJA

58-60, Shaftesbury Avenue
London, W. I.

otwarta do godz. 10 w nocy.

ESPLANADE HOTEL RESTAURACJA

2, WARRINGTON CRESCENT
LONDON, W. 9. Tel.: CUN 1052

W pokojach ciepła i zimna woda oraz
telefon. Centralne ogrzewanie. Doskonała
kuchnia polsko-rosyjska

MÓWI SIĘ PO POLSKU

Dojazd : Stacja kolei podziemnej
Warwick Ave. na brązowej linii.

Wyłączne przedstawicielstwo ogłoszeń,
Advertising Offices, The Carlton Berry
Co., Grand Buildings, Trafalgar Square,
London, W. C. 2. Tel. : ABBey 5108.

... A TYMCZASEM

**ZABAWIAJCIE SIĘ W DOMU
PRZY DŹWIĘKACH PŁYT DECCA**

3/-



Published by „Nowa Polska”, 91 Great Titchfield Street, London, W.1, and
printed by Staples Press Limited at their Great Titchfield Street London,
factory.

3/-



ZA WASZĄ I NASZĄ

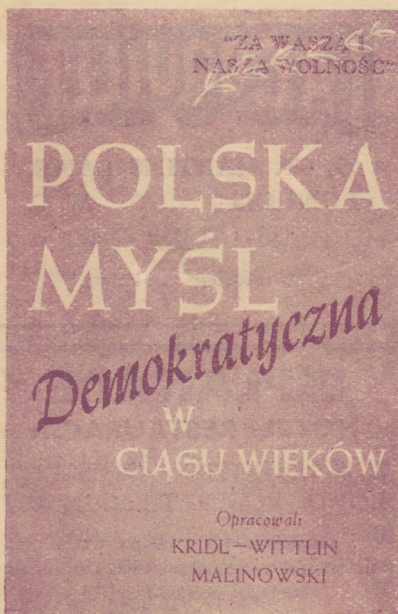
POLSKA MYŚL DEMOKRATYCZNA W CIĄGU WIEKÓW

Antologia w opracowaniu:

M. KRIDLA, W. MALINOWSKIEGO, J. WITTLINA

! Już ukazała się nakładem „Nowej Polski“ i „Polish Labour Group“ powyższa książka, jednocześnie w Ameryce i w Wielkiej Brytanii, która winna znaleźć się w ręku każdego szczerego demokraty.

Książka ta ponadto zawiera teksty dokumentów historycznych: Konstytucyj, Programów, Manifestów, Deklaracji i t.d. Osobny dział poświęcony Polsce Podziemnej zawiera wypowiedzi demokratycznych grup politycznych w kraju.

**Z PRZEMOWY BERTRANDA RUSSELLA
DO WYDANIA ANGIELSKIEGO**

MAM NADZIEJĘ, że książka ta będzie szeroko czytana. Daje ona obraz polskiej myśli postępczej, od piętnastego wieku aż po dzień dzisiejszy. Końcowe jej rozdziały stanowią oświadczenie Rządu polskiego oraz polskiego ruchu podziemnego, który działa mimo terroru Gestapo. Pełnił tekstów, zamieszczonych w tej książce znajdzie czytelnik wyjątki z piórn autorów, odzwierciedlających zasady demokratyczne i socjalistyczne, równie stanowczo i łownie wymownie, jak najlepsze pisanie Zachodu. Znajdzie on również nieustraszone potępienie antysemityzmu, militarizmu, przywilejów arystokratycznych i innych, dobrze znanych, przejawów siły, które trapiły Polskę na równi z wielu innymi krajami. Redaktorom książki należy się specjalne uznanie za całkowitą szczerość w przedstawieniu tych bolączek, zwłaszcza w latach, które bezpośrednio poprzedziły wybuch obywatelskiej wojny. Żadna kraj nie ma monopolu na posiadanie słych rządów i byłoby wielkim błędem udmawianie zezwolenia Polsce dlatego, że przez pewien czas najgorzej elementy reakcyjne zdolały narzucić narodowi polskiemu swą tyranię.

Historja Polski jest tragiczna od czasów jej rozbioru przez ówczesnych „oświeconych despotów“ Fryderyka, królów Prus, i Katarzynę, Cesarzicę Rosji. Polacy (jak nazywał ich Voltaire i inni pooblebzy) Nic dziwnego więc, że nieważnica te wywołaly wśród Polaków nieco zbyt gwałtowny nacjonalizm; leza autorzy, których prace zamieszczono w tej książce, całkowicie od niego wolni.

Spodziewam się, że podobnie jak ja — tak i czytelnicy tej książki zauważą uderzające podobieństwo celów, ku którym dąży postępczy Polacy oraz postępczy działacze Demokracji Zachodnich.

Mamy wszelkie podziwy, aby wierzyć, że większość narodu polskiego pozostała zawsze wierna zasadom demokracji.

Bertrand Russell

Uwzględnieni autorzy: Włodkowic, Ostroróg, Modrzewski, Rej, Goślicki, Skarga, Budny, Stoiński, Przykowski, Konarski, Kollątaj, Staszic, Potocki, Pułaski, Kościuszko, Mochnacki, Lelewel, Mickiewicz, Worcell, Kamiński, Ściegienny, Prus, Orzeszkowa, Świętochowski, Nałkowski, De Courtenay, Srokowski, Witkiewicz, Balzer, Lednicki, Waryński, Limanowski, Piłsudski, Daszyński, Krauz, Baron, Krzywicki, Abramowski, Brzozowski, Żeromski, Strug, Berenson, Witos, Skrzyński, Ganszyniec, Niedziałkowski, Thugutt, Lieberman, Estreicher, Znaniński, Alter, Kulczyński, Paderewski, Próchnik, Sikorski, Stańczyk, Stonimski, Malinowski.

Str. 448

Cena 21 szyl.

SKŁAD GŁÓWNY

W „NOWEJ POLSCE“

91, Great Titchfield Street, London, W. 1

JEST JUŻ DO NABYCIA
W KAŻDEJ POLSKIEJ KSIĘGARNI